Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1891. Rok XIV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z NOWYM ROKIEM.

Szlachetnej drużynie łowieckiej, towarzyszom łowów, miłośnikom i opiekunom myśliwstwa najserdeczniejsze pozdrowienie!

Niestrudzeni w pracy, czujni i troskliwi o dobro spraw naszych, z niegasnącą nigdy nadzieją w sercu i z wiecznie żywą wiarą w przyszłość — idziemy naprzód. W kniei wieków skończył się rok jeden jak miot jeden — otrąbiono koniec — popijamy więc na trupa i ruszamy w miot dalszy z wytrwałością łowców, którzy nie wiedzą, co to trudy i przeszkody, gdy się ma dojść do celu.

Lecz nie wszyscy wrócili ze stanowisk na punkt zborny. Niejednego Najwyższy Pan łowów odwołał do siebie i dał mu wieczny spokój po trudach. Tym poświęcamy słowo gorącej pamięci i idziemy naprzód.

Łowiectwo nasze — knieje nasze i trofea nasze poznał w ubiegłym roku szerszy świat na wielkiej wystawie rolniczo-leśnej w Wiedniu. Zdumiewali się obcy nad okazami zwierząt, których tam lasy i góry nasze dostarczyły — podziwiali rozwój i racyonalną uprawę naszego łowiectwa. Lecz i my nawzajem mieliśmy tam sposobność poznać, że wiele nam jeszcze uczynić należy, ażeby gospodarstwo łowieckie w ścisłe ująć karby i postawić je na odpowiedniej wyżynie jako niepoślednią cząstkę gospodarstwa krajowego.

W usiłowaniach tych zajmuje poważne miejsce uregulowanie przepisów łowieckich i ujęcie ich w jeden łowiecki kodeks. Sprawą tą zajmowaliśmy się wiele w ubiegłym roku. Nie przyszła ona wszakże do ostatecznego załatwienia. Rząd nie wniósł dotąd projektu do ustawy, nad którym już w różnych kołach pracowano, a krótki czas, który ostatniej sesyi sejmowej wyznaczono, nie byłby nawet dozwolił, aby go z pożądaną ścisłością rozebrano i załatwiono. Staje więc przed nami i na ten rok obowiązek czuwania nad dalszym przebiegiem tej sprawy i nad dalszem jej rozświecaniem przy współudziale wytrawnych przyjaciół naszego pisma.

Poza tem — przyrodnicze badanie życia zwierząt łownych, najściślejsze szanowanie ich pieleszy w czasie lęgu i surowe przestrzeganie, aby nikt tej ciszy czasu ochronnego nie mącił — coraz troskliwsze żywienie ich w czasie ciężkich zim — tępienie drapieżców, zdziczałych kotów i włóczących się psów — surowe ściganie kłusownictwa — wreszcie kontrolowanie siebie samych, ażeby nas pasya myśliwska do lekceważenia przepisów i przykazań przyrody nie unosiła — powinno być i będzie bezustannem naszem staraniem.

Coraz gęstsza sieć kółek i Towarzystw myśliwskich zaczyna się wytwarzać po kraju — w coraz większe karby ścisłości wchodzi też uprawa myśliwstwa — niechże więc duch powyższych zasad szlachetną drużynę myśliwską ożywia — i z Bogiem naprzód!

Nasze kaczki dzikie.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

napisał

Władysław Spausta.

Polowanie na kaczki — czyli „kaczołowstwo“ w języku łowieckim — już od najdawniejszych czasów było u nas wykonywane. Nie polowali wprawdzie na tak lichego zwierza wielcy panowie, nie polowała można szlachta, bo grubym zwierzem napełnione ostępy i knieje nastręczały tyle rożnorodnej rozrywki, a nawet niebezpiecznych zapasów, iż z pogardą spoglądano na bezbronną i płochą zwierzynę, a „żaden pan nie wziąłby do ręki strzelby, którą zhańbiono, sypiąc w nią śrót cienki“. Brodzenie za kaczkami, zastawianie sideł należało tedy do czynności ubogiego szlachcica zagonowego, lub chłopa, a młodzież pańska również tutaj zaprawiała się do coraz grubszych łowów, a wreszcie do ustawicznej niemal walki kresowej.

I Gallus i Kadłubek w swych kronikach wspominają, że już za panowania Bolesława Krzywoustego, polowała młodzież z wyuczonem do łowów ptactwem, a dodają, iż „takie łowy były najulubieńszą i jedyną zabawą młodzieży, oddającej się poważnym zatrudnieniom“. Lecz piękny ten kunszt sokolnictwa zatracił się już nawet w tradycyi i utonęły w niepamięci owe harce z sokołem, ów poważny kurs wstępny na drogę rycerskiego rzemiosła.

Rzecz godna uwagi, że już i w dawnych czasach stanowiło kaczołowstwo pewne źródło intraty. Nie chodzi tu o to, ile czyniło dochodu, jedynie charakteryzuje owe dawne czasy. Teodor Zawadzki, opisując przychody, jakie miewał „rządny ziemianin“ wspomina, iż „młynarze za strzelanie kaczek na stawach po 16 groszy dawali“. Dowodzi to z jednej strony, iż mimo braku ustaw i opieki państwa właściciel gruntu nawet z tak nieznacznej rzeczy mógł korzystać, z drugiej zaś, iż właściciele gruntu sami tego rodzaju polowania nie wykonywali, zostawiając je innym za byle jakiem wynagrodzeniem.

W czasach obecnych, pomimo ustaw i straży, kaczołowstwo nie da się prowadzić w sposób właściwy, w sposób, któryby pozwolił i właścicielowi gruntu pewnych korzyści i dostarczył ogółowi stosunkowo taniej zwierzyny. Kłusownictwo na tem polu szczególnie, a wogóle w łowieniu ptactwa, rozwielmożniło się do tego stopnia, że bardzo ostrych należałoby użyć prawideł, aby je dziś, za daleko już posunięte i rozzuchwalone, poskromić. Gdzie tylko kilka kaczek się pojawi, już je śledzi oko próżniaka wiejskiego, jakich każda miejscowość, gdzie ptactwo to przebywać lubi, liczy wielkie mnóstwo. Dopóty zastawiają rozmaitego rodzaju siłki, szubieniczki, dołki i t. p. szatańskie wynalazki, dopóki całe stadko nie zostanie wygubionem.

Inną razą zasiada kłusownik i strzela do całych stad, kalecząc daleko więcej niż zabijając. A będąc w posiadaniu zwierzyny, którą mu lada kto odebrać może i pociągnąć jego samego do odpowiedzialności, pozbywa ją byle za co handlarzom rozmaitego rodzaju, którzy umyślnie na ten cel od czasu do czasu wyprawy po wsiach urządzają, zakupując za liche pieniądze ptactwo to masami. Lwią cząstkę tej zdobyczy dostaje znów miejscowy żydek, który przedewszystkiem „sekretny“, gdy mu z tem dobrze, i który genialnie w tych transakcyach pośredniczy.

Jakiego rodzaju zniszczenia wykonują kłusownicy w ptactwie wodnem, może ten tylko o tem mieć niejakie wyobrażenie, kto na własne oczy patrzał na tę dziką praktykę. W moich wycieczkach za kaczkami w rozmaitych stronach kraju, spotykałem tysiące wstrętnych tego rodzaju obrazów. To zdejmowałem złapane na sidła kaczki, bądź już nieżywe, bądź trzepoczące się, a sposobów tych nie zdołałbym opisać w rozmiarach niniejszej pracy — to znów zapędzałem się pomiędzy rozmaitego rodzaju siłka, falki, szmygi itp. piekielne przyrządy, pomiędzy którymi już nie kaczki, ale resztki z tychże spoczywały, resztki biesiad jeszcze pilniejszych w łowach kań i błotniaków. Inną znów porą, w miejscu, gdzie kłusownik z zasiadki wystrzelił, tułało się pomiędzy trzcinami i zaroślami mnóstwo pokaleczonych ptaków, nie mogąc wzlecieć.

Podziwiać należy dowcip i na gruntownej znajomości przyrody i zwyczajów zwierzęcia oparte postępowanie przy nastawianiu tych łowczych przyrządów, można kilkadziesiąt razy i widzieć dokładnie te przybory i być obznajomionym z każdą najsubtelniejszą ich częścią, a jednak nie umieć ich tak nastawić, aby się w nie ptak złowił. Odgrywają tam bowiem rolę nieznaczne pozornie fortele, a przecież takie, którymi wytrawny kłusownik zmyślne pokonywa zwierzę.

Prócz tego, iż kłusownictwo ptasze li tylko tym daje zarobki, którzy wcale na to nie zasługują, to jest przekupniom i pasożytnym żywiołom wiejskim, pogrąża ono pewną część (a jest ona dość znaczną w niektórych okolicach) ludności wiejskiej w jeszcze gorszą nędzę i trzyma w zacofaniu. Zamiast bowiem jąć się produktywnej pracy około roli i dobytku, porzuca wieśniak swą zagrodę i przesiaduje po całych dniach i nocach na wodach i błotach, a wiedząc o tem, że popełnia czyn karygodny, staje się jeszcze bardziej skrytym i do reszty moralnie upada.

Nie wchodzę tu w podawanie sposobów, jakimi by władza podtrzymać mogła istniejące w tym względzie ustawy, to jednak pewna, że straże bezpieczeństwa, przy współudziale myślącego, a z ludem stykającego się społeczeństwa, potrafiłyby położyć tamę barbarzyńskim na tem polu nadużyciom.

Zdaje mi się, że nie posądzi mnie tu nikt o dążność do odebrania i tego tak lichego zarobku biednym, na rzecz większych właścicieli. Bynajmniej, nie chodzi mi o to; lecz pragnąłbym, aby kaczołowstwo, mające znaczenie ekonomiczne dla całego społeczeństwa, nie było *res nullius*, jaką jest w praktyce obecnej, lecz aby się stało *res omnium*, jak tego wymaga prąd, kierujący nowoczesnem społeczeństwem.

A ta *res omnium*, to nie bagatela, to ważna gałąź, gdyby tylko społeczeństwo w sposób rozumny i prawidłowy potrafiło z niej korzystać.

Niech to nie wywołuje uśmiechu niedowierzania, że podnoszę znaczenie kaczołowstwa z punktu ekonomicznego. Kraj nasz, poprzerzynany rozmaitymi rzekami nieuregulowanymi, których rozlane wody nieraz przez kilka miesięcy

ogromne obszary po kilkanaście mil kwadratowych pokrywają (n. p. Dniestr od Hordyni po Niżniów 16 mil, Styr w swym górnym biegu, Bug) — kraj, w którym rozmaite wody, bagna i moczary się znajdują, gdzie jest około 22.000 hektarów jezior, bagnisk i stawów, przeważnie tylko dla kaczek przystępnych, a niedających się zaliczyć do żadnej kategoryi użytków — kraj ten przedstawia tak piękny i urozmaicony żerem teren dla kaczki dzikiej, iż niedziw, że upodobała sobie kraj nasz i przebywa w nim w niezliczonych nieraz stadach.

Wolno nam mieć nadzieję, że kiedyś w skutek uregulowania wód i osuszenia zabagnionych obszarów, ścieśni się o wiele teren kaczy, że i tu kiedyś skrzętna siostrzyca Jowisza wkroczy w te czasowe państwa Najad, lecz jak dziś jeszcze, to mało jest takich miejsc w kraju, gdzieby kaczki były zjawiskiem rzadkiem, a prawie nie ma kąta, gdzieby były nieznane.

Doskonały ten latawiec, jeżeli gdzieś stale nie zamieszka, to odwiedza przynajmniej czasowo i inne okolice, gdzie tylko żeru spodziewać się może. Z licznych odmian kaczek, jakie spostrzegać się dają w strefie naszej, niektóre tylko jako ptak gniazdowy u nas przebywają, natomiast ubóstwo odmian zastępuje niezmierna ilość głów jednej i tej samej odmiany. W wędrówkach wiosennych i jesiennych przelatują natomiast kraj nasz najrozmaitsze odmiany, a nieraz jawią się nawet pojedyncze egzemplarze odmian zupełnie innych stref klimatycznych, zbłąkane lub zagnane jakiemiś szczególnymi wybrykami w stanie atmosfery.

Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie posiada odmiany kaczek, których niejeden nawet bardzo doświadczony myśliwy nie widział i nie zna, są to bowiem zagnane przypadkowo okazy, prawdziwe rarytasy fauny krajowej. Niektóre odmiany żyją w niezliczonych stadach niemal pod jednym równoleżnikiem względnie do naszego kraju, a jednak u nas rzadko i sporadycznie tylko się pojawiają. Są to odmiany, potrzebujące do utrzymania swego koniecznie słonej wody morskiej i żeru tylko w tych wodach znajdującego się. Rozmaite owe odmiany kaczek nie należą też do łowiectwa naszego, a przedstawiać mogą interes tylko dla specyalnego badacza fauny. Rzadkie owe kaczki oczywiście nie posiadają naszych nazw, ni w języku myśliwskim ni w ludowym, i dla tego nazywać je można tylko w kosmopolitycznym języku nauki.

Kaczkę zaliczają zoologowie do rzędu pływaków *(Natatores)* do gatunku karbodzióbych *(Lame lirostres)*. W wielkim tym gatunku tworzą kaczki pływające odrębną rodzinę *(Anates)*, osobną zaś rodzinę stanowią kaczki nurzające się *(Fuligulae)*. Charakterystyczna różnica obu tych rodzin leży w budowie i osadzie odnóży czyli wioseł. U kaczek pływających są wiosła osadzone więcej ku przodowi ciała, palce krótsze, tylko przednie pletwą do pływania opatrzone, palec zaś tylny czyli kciuk jest bez błony lub pletwy. Przeciwnie u kaczek nurzających się, nogi są więcej ku tyłowi ciała osadzone, tak, iż chód ich jeszcze niezgrabniejszym jest niż u poprzednich, i ptak dla przeniesienia środka ciężkości i dla utrzymania równowagi szyję z głową ku tyłowi wygina, przybierając w całej postawie niemal prostopadłą pozycyę. Wiosła mają dłuższe palce, wielkimi pletwami opatrzone; niemniej kciuk jest błoną opatrzony. Goleń zrośnięta jest do połowy ze skórą brzucha, a na kolanie spostrzegać się daje spiczasty wyrostek. Cała ta mechanika nogi usposabia kaczki nurzające się do nurzania się i sterowania pod wodą, bo ruch nogi odbywa się i ku przodowi i na boki, a wielka powierzchnia błon do wielkiej szybkości we wodzie dopomaga.

Podczas gdy kaczki nurzające się wykonują tę praktykę w celu żerowania pod wodą, nie nurzają się nigdy kaczki pływające za żerem, a wykonują sztukę tę wyjątkowo, czasem dla igraszki, a najczęściej dla ratunku i ucieczki.

Charakterystyczne te różnice są o tyle ważne, iż musiałem się nieco dłużej nad nimi zatrzymać, zakreślają one bowiem siedliska najdogodniejsze dla tych dwóch rodzajów. Jakoż wszystkie kaczki pływające są skazane na żer nad wodą lub w górnych warstwach tejże, przeciwnie zaś kaczki nurzające się nawet z bardzo głębokich wód umieją wydobywać pokarm.

Wszystkie odmiany kaczek dzikich, bądź gnieżdżących się u nas, bądź przebywających dłuższy czas, rozpostarły szeroko granicę swej ojczyzny; nie ma prawie zakątka strefy umiarkowanej, w którymby ich nie było. Gdy znaczny żer w jakiejś miejscowości się nadarzy, lub podczas gromadnych wędrówek jesiennych lub wiosennych, oblęgają niezmierzone okiem płaszczyzny wody. Miliony tam przesiadują, tak, iż wody czernią się od mnóstwa ptaków, a w całej powietrzni szumią ich loty.

Kaczki nie należą bynajmniej do rzędu pedantów wędrownych, jak bociany, żórawie i t. p. nie opuszczaią nas bynajmniej z zagadkowych przyczyn, jak pomienione ptactwo w czasie, w którym w całej przyrodzie nie możemy dostrzec żadnych do tego powodów. Przeciwnie, w wędrówkach kaczek nie potrzebujemy się wysilać na tworzenie hypotez, bo powody są zanadto widoczne. Wędrują one za żerem, *ubi bene ibi* — stacya, a gdy bieda, odbywa się dalej wędrówka tego żarłoka do ponętnych miejsc, gdzie lśnią otwarte a ciepłe i pełne żeru lustra wody.

Ptak, żerujący przeważnie na wodzie, nie może istnieć, gdy żywioł ten skorupy lodu pokryją; to też wynosi się zwykle gdy mrozy nastaną, a nieliczne egzemplarze, dopadłszy oparzelisk i cieplic naturalnych lub innych wód otwartych, pozostają u nas do późnej zimy, a czasem nawet zimują. Zdarza się często, że gdy z nastaniem mrozów kaczki zupełnie znikną z jakiejś okolicy, pojawiają się znów za kilka tygodni wraz z odwilżą i otwarciem się wód, a to najdobitniej powody ich wędrówek tłumaczy.

W mojej praktyce myśliwskiej zdarzyło mi się kilka razy ubić kaczkę w miesiącu styczniu na oparzeli, wśród lasów olchowych lub wśród cieplic, okolonych gęstym oczeretem na mokrych łąkach. Były one wcale ż e r n e (tłuste), a z odmiany krzyżowych. W zimach lekkich, gdzie wielka ilość wód wcale nie zamarza, a zim takich mieliśmy kilka wśród 10lecia 1870—1880, zdawałoby się, iż kaczki mające żer, powinneby masami u nas zimować; tak jednak nie jest, bo na żer wpływa także i temperatura wody. Niezliczone mnóstwo mieszkańców wód, owe rozmaite wodne owady i ich poczwarki, mięczaki, robaki, płazy itp. stanowiące w znacznej części żer kaczki, zdolne są żyć tylko wtedy, gdy ożywczy promień słońca podnosi temperaturę wody. Niemal każdy z tych tworów potrzebuje odrębnego a pewnego stopnia temperatury do wykonywania funkcyj żywotnych. W miarę obniżania się ciepłoty, znika powoli ruch i życie, chłodny żywioł ten staje się coraz bardziej przeźroczym, wreszcie znika w nim dla oka naszego wszelkie życie organiczne tych drobnych mieszkańców o najdziwaczniejszych ruchach i kształtach, aż w końcu przeźroczą toń pokrywa krystaliczna skorupa lodu. Tylko ryby w mroźnej głębi pędzą dalej ruchliwy swój żywot, reszta zaś fauny wodnej skryła się po rozmaitych szczelinach i wśród roślinności dna i brzegu, a zagrzebana w mule lub pod głazem czeka głosu zmartwychwstania wiosennego. Mozolny by to był zatem żywot

kaczki na takich zimnych choć niezamarzniętych wodach, a jeżeli się wydarzy, iż kaczka w zimie ubita jest „żerną“, przypisać to należy przeważnie dobrym czasom przed nastaniem zimy.

Dobre odżywianie się w porze ciepłej pociąga za sobą szczególnie u kaczorów wielkie nagromadzenie się tłuszczu w ciele, a ptaka czyni do tego stopnia ociężałym, że rezygnuje z lepszego żeru i woli na razie skazać się na biedę i niedolę naszej zimy, byle tylko nie ruszać się z miejsca. Są to zatem po największej części pasibrzuchy rodu kaczego, które nieraz gorzko pokutują za swe zbytnie łakomstwo w porze letniej. Wielkich stad kaczek nie spotykałem u nas nigdy w porze zimowej, były to albo sztuki pojedyńcze, lub po kilka w stadku i przeważnie kaczory. Przewaga liczebna indywiduów męzkich w rodzie kaczym przemawia również za tem, co poprzednio powiedziałem o przyczynie pozostawania u nas kaczek przez zimę, bo kaczory przedewszystkiem nie biorą udziału żadnego w pielęgnowaniu młodego pokolenia i pędzą bardzo wygodne życie, po spełnieniu swego powołania. Osobliwie nadliczbowe i w doborze płciowym upośledzone samce stają się żarłokami, prawdopodobnie z rozpaczy, zwłaszcza, że nie mogą się oddać innemu nałogowi, mając zawsze tylko wodę koło siebie. A w szajce tej, złożonej z nie-kawalerów i nie-wdowców, z kochanków wzgardzonych, znajduje się wiele egoistycznych natur. Całe lato myślą te żarłoki tylko o wygódkach i o swoim żołądeczku, a spędziwszy w takim sybarytyźmie błogie czasy, pełne żeru doczekują się w jesieni strasznie przykrego zawodu, gdy gwarne stado współplemieńców z wesołym kwakiem wznosi się do jazdy, dążąc ku zastawionym na południu stołom. Biedny a zbyt żerny kaczor próbuje wówczas lotów, lecz przekonuje się, że mu nie podobna zdążyć za innymi, że to nad jego siły — i decyduje się wreszcie przemęczyć złowrogą zimę w naszym klimacie. Podczas długiego lata miał on sposobność zapoznać się z wszelkimi do przezimowania nadającymi się zaułkami, wie o cieplicach, wie o ciepłych prądach wód płynących — to też ufając w swą pamięć, pociesza się nadzieją, że na szczupłym tym terenie jako tako zimę przepędzi. W roku 1877 w styczniu ubiłem takiego pasibrzucha na oparzeliskach, znajdujących się na mokrych łąkach pod Oleskiem w powiecie Złoczowskim.

Zdarzają się jednak wypadki, że ubite w zimie kaczki są uderzająco b i e d n e (chude); są to jednak po największej części marodery, w jakiś sposób uszkodzone. Ścisłe badanie takich chudych egzemplarzy prawie zawsze wykaże prawdziwą przyczynę ich pozostania. Znajdą się tam albo ranki, albo blizny, albo kość złamana i źle zrośnięta, albo wreszcie brak odrostu opierzenia, wskutek cierpienia organizmu po wypierzeniu. (C. d. n.)



Opowiadanie starego Poraja

powtórzył

Aleksander Ubysz.

(Z pism pośmiertnych).

Jakkolwiek lubię łowiectwo i chętnie, czy ono ze strzelbą lub nawet z chartami się odbywa, biorę w niem udział, jednakowoż najmilszem mi jest ptasznictwo. Już od dzieciństwa miałem doń pociąg szczególny.

Dawnym polskim obyczajem, wyrostkiem już, liczyłem bowiem lat 14, odwieziono mię po raz pierwszy do szkół normalnych w Zamościu. W owym czasie część Polski, nazwana Galicyą, dostawszy się pod berło austryackie, w tej zachodnio-północnej stronie obszerniejszą niż obecnie zajmowała przestrzeń. Przed tak zwaną „rektyfikacyą“ granic Galicyi pomiędzy monarchią Rosyjską i Austryacką, cała niemal ziemia Chełmska i część Zamojskiej z twierdzą Zamość należała do Austryi. We wschodniej za to części, całe Podole z miastami Tarnopolem, Zbarażem i Husiatynem, niemniej z Brodami i Podhorcami, należały do Rosyi. Rektyfikacya granic nastąpiła w roku 1815. Ujęto Austryi ziemię Chełmską i Zamojską, a za to rekompensowano ją nadaniem Podola i skrawka Wołynia z Brodami i Podhorcami.

Pierwszy mój wyjazd do szkół w Zamościu, nowym niemieckim systemem przez Austryę zaprowadzonych, był roku 1807. Starsi bracia moi Stefan i Wincenty walczyli w zwycięzkich szeregach Napoleona I., mnie zaś, niezdolnego jeszcze podówczas do wojaczki, — poduczywszy wpierw w domu czytać i pisać po polsku, oraz liter niemieckich drukowanych i pisanych z rozmaitymi wykrętasami — odwiózł pan rodzic do Zamościa.

Trzech nas, z młodzieży ziemi Bełzkiej, stanęło na tak zwanej stancyi u państwa Groszków. Byłem ja, Feliks i Józef U. z sąsiedniego Ostobuża. „Pieczono, warzono w smole, nie powiadaj co się działo w szkole“, przykazuje dawna przypowieść, toż wierny temu, zasłonę rzucam na owe szkolne czasy, wówczas tak dla nas dotkliwe, a dziś tak miłe wspomnienie. Dyrektorem, czyli „Schuldyrektorem“ szkół normalnych w Zamościu był podówczas p. Priester. Mówiono, że p. Priester niegdyś był kapralem w armii austryackiej, a później prawdopodobnie syt laurów, prosił o tak zwane *Ruhe-anstellung*. „Na bezrybiu i rak ryba“ mówi przysłowie. Ówczesny rząd austryacki, nie mając na razie innych kandydatów na nauczycieli do szkół z wykładem niemieckim, w świeżo objętej prowincyi, niemal wszystkie posady obsadził podoficerami swej walecznej armii.

P. Priester, przywykłszy do kija w armii, ten sam system zaprowadził i w szkole Zamojskiej. Ach, złe-ż bo to było Niemczysko! Słuszny wzrostem, chudy jak szczapa, z głową utrefioną wedle ówczesnej mody, włosy splecione w jedną sporą kosę, ujętą w „harbajtel“, zwisały mu na plecy. Ubierał się w jasno błękitny frak, pluderki sięgające kolan, trzewiki i pończochy.

Instruktorem naszym domowym był niejaki Łapkiewicz, Młodym był jeszcze, mógł liczyć zaledwo lat 30. Gdzie się nauczył języka niemieckiego, skąd pochodził, nie było wiadomem, dość, że zawodem jego była preceptorka. Oprócz nam trzem w domu, udzielał nauki i kilku przychodnim uczniom. Niedarmo nosił nazwę Łapkiewicz; pasyonowanie lubiał bić uczniów swoich po rękach — mówiąc w razie egzekucyi: „Nadstaw-no łapki". Miał i drugą pasyę. Przepadał za skrzydlatą zwierzyną, namiętnie ją jeść lubiąc. Nic nie zdołało tak pohamować gniewu jego, i w dobry a nawet łaskawy wprowadzić go humor, jak danie mu do spożycia pieczonych ptaszków, chociażby nawet wróbli. Znałem ten jego gust, toż wolne od szkoły chwile poświęcałem chwytaniu lub wybieraniu z gniazd ptaków, bynajmniej na gatunek nie zważając. Ileż to razy, urwawszy głowy i łapki wybranym z gniazda wroniętom, kawkom, puszczykowi i sowiętom, przynosiłem preceptorowi jako młode gołębie. Przyjmował je nader łaskawie i spożywał z największym apetytem. To też wszyscy, ilu nas było uczniów pod dozorem jego, wysilaliśmy się w dostarczaniu mu ptaków, nibyto ofiar owemu smokowi na Wawelu, aby tylko uciszyć jego gniew.

O zmianie preceptora rodzice nasi nawet marzyć nie mogli, bo Łapkiewicz, zdaniem „Schuldyrektora", był *ein tüchtiger Instruktor*. Był on też jego ulubieńcem i ze strony p. Priestera była co do przyjęcia mię do szkoły Zamojskiej postawiona *conditio sine que non*, aby Łapkiewicz pełnił przy nas obowiązki nauczyciela domowego.

Nadszedł rok 1809. Wojna Austryi z cesarzem Francuzów przybrała groźne rozmiary. Armie zwycięzców i zwyciężonych przeciągały przez poblizkie okolice, a nawet mówiono o blizkiem oblężeniu Zamościa przez wojska francuzkie. Rozpuszczono więc szkoły. Młodzież, a nawet mieszkańcy Zamościa, nie polskiego pochodzenia, opuścili gród. Co za rozkosz była dla mnie, rzucić w kąt „komeniusz", „Sprachlehre z Rechtschreibungiem" i tym podobne szpargały nie swojskim pisane językiem, i wrócić do domu, do flinty, do sieci, rozjazdu i samotrzasku.

Lecz zanim wrócę myślą do miłego zbijania bąków we wsi rodzinnej, opowiem wam jeszcze coś więcej o mentorze moim, z którym się zaznajomiłem w czasie dwuletniego pobytu mojego w Zamościu.

Łapkiewicz, jak już mówiłem, namiętnie lubiał skrzydlatą zwierzynę i dla niego to wybierałem gniazda kawek, sów i puszczyków na dzwonnicy kościelnej lub murach i wałach fortecznych, częstokroć z narażeniem życia. Pewnej niedzieli, upatrzywszy gniazdo kawek, mieszczące się w jednym z otworów strzelniczych starego kamiennego muru, nie wiele się namyślając, począłem się drzeć po wystających w murze kamieniach, aż ku owej strzelnicy, dość wysoko po nad ziemią położonej. Dotarłem do celu, połów był znakomity. Okazało się, że w obszernem wnętrzu strzelnicy kawki sposobem familijnym kilka gniazd uścieliły. Wybrałem je wszystkie, a było dziesięć sztuk kawcząt. Obładowawszy nimi kieszenie i zanadrze, zabieram się do odwrotu. Pozieram na dół — źle! — wysoko! Łatwiej było wdrapać się niźli zleść na dół. Kamienie, gdzie niegdzie niby gzymsy z muru wystając, za mało dawały oparcia nogom. Spociłem się jak mysz ze strachu. Co począć? Mur stał luźnie, nie przylegał doń żaden inny budynek. Począłem płakać. A prawdopodobnie nie cichym był objaw mojej rozpaczy, bo naraz słyszę głos z dołu: „*Wer ist das?*" Przypatruję się, wojskowy jakiś. Opowiadam mu tedy w krótkości przyczynę mojego pobytu na szczycie muru. Wojskowy powiedziawszy mi: „*Wart aus ein wenig*" — spiesznie się oddalił. Niebawem zjawił się na czele kilku żołnierzy, niosących drabinę. Po przystawionej do muru, zlazłem na ziemię, przyjęty w ramiona starego kapitana wojsk austryackich, stojących w Zamościu. Nazwisko jego zapomniałem. Poczciwy to był Niemiec, istny kontrast dyrektora Priestera.

Mocno osłabionego z wysilenia i strachu, rozkazał kapitan ludziom swoim zanieść mnie do swojej kwatery. Istny raj ptaszniczy przedstawił się tu oczom moim. Cały duży pokój obwieszony był klatkami, pełnymi różnorodnego ptactwa,

— Zjadłbyś co? — rzekł do mnie kapitan z czeska, gładząc mnie po twarzy — „*Franz s'Essen her!*" — zawołał — i wnet zjawił się żołnierz z sporą misą mięsa i kartofli.

— *Greif zu Junge* — mówi do mnie kapitan.

Poszedłem za dobrym jego przykładem, pałaszując jak on prostą lecz smaczną potrawę.

Po skończonej wieczerzy mówi do mnie kapitan, zapaliwszy swoją fajkę niemieckiego fasonu, zwaną „Ulmerkopf":

— *Da, schau*, co tu u mnie ptaków, a sam je chwytam. Mam i kawki oswojone, lecz sam nie łażę po nie, na to mam „pfeifra" a to fiffikus do takich rzeczy. Jak ci się zechce gniazd ptasich, przyjdź do mnie, pójdziemy razem po mustrze.

Od owej pory datowała się znajomość moja z kapitanem. Jeżeli posiadam niejakie ornitologiczne i ptasznickie wiadomości, zawdzięczam je owemu kapitanowi. Sieci, klatki i samotrzaski sam on przy pomocy swego „pfeifra" a po części i dobosza sporządzał. Obyczaje wszystkich ptaków europejskich znał wybornie, choć owe wojenne czasy nie wiele mu dawały wolnych chwil do oddawania się tej pasyi. Przy każdym wymarszu na pole bitwy lub w dalsze prowincye, ptaki na wolność wypuszczał, klatki i narządy ptasznickie rozdarowywał, by znowu, gdy się nadarzył chociażby kilkomiesięczny na jednem miejscu pobyt, sporządzać przyrządy do chwytania i poczynać nową kolekcyę ptaków różnego gatunku. Opowiadał, że w czasie swej długoletniej wojskowej służby, już kilkanaście razy rozpoczynał i zwijał swoje ptasznictwo.

Umiejętność moja w naśladowaniu głosu niektórych ptaków i zwierząt, wprowadziła go w zachwyt. On sam ku temu celowi trzymał bądź wabce lub sporządzał wabiki, czego i mnie nauczył. Widzieć trzeba było kapitana o marsowem lecz poczciwem obliczu, gdy sporządzał wabiki z blaszek, kostek kurzych, gęsich, z mieszkami lub bez takowych. A stroił je do głosu swych klatkowych śpiewaków i były *non plus ultra*. Kunszt w przyrządzaniu wabików do tej doprowadził perfekcyi, że sporządził nawet wabik wybornie naśladujący głos wabiącej synogarlicy, z żalem zaś dodawał, iż mimo usilnych starań nie mógł zrobić wabika, naśladującego głos grzywacza, wabiącego samkę. Otóż pewnego razu odezwałem się kilkakrotnie na jednej z naszych wycieczek „au — au!", tak, że najzupełniej zdało się, iż samiec grzywacz, usiadłszy na szczycie drzewa, wabi samicę.

— *Bube, du bist gross!* — zawołał kapitan patetycznie — i obdarował mnię lekką strzelbą pojedynką, o krzemykowym kurku, bo inne jeszcze podówczas nie były rozpowszechnione.

Ileż to plag, (powiem pod sekretem należących się słusznie) ominęło mnie, skoro się do Priestera, kapitan, protektor mój wstawił. Nieraz spodziewając się „oblewanych" za tablicą, biegłem co tchu do kapitana — a ten, wszedłszy do Priestera i poszwargotawszy z nim coś po niemiecku, zażegnał ciążącą nademną burzę. Już to uważałem, że Priester wobec kapitana, mimo swego dyrektorskiego stanowiska, nie mógł zapomnieć o kapralskiej przeszłości — a stanąwszy

w wojskowej postawie potakiwał każdemu słowu kapitana, który swą prośbę tonem rozkazu wygłaszał.

W czasie owym Mars wyłącznie panował nad Europą; inni bożkowie i boginie poszły w kąt — toż i bogini łowiectwa Diana nie wielu miała wyznawców. Co młode służyło w armiach tego lub owego monarchy, starzy pozostawszy doma pełnili poniekąd funkcyę wojskich, a zawiesiwszy na kołku broń łowiecką, nie mieli czasu kultywować łowiectwo. Z tej przyczyny w lasach, w które do dziś obfituje Lubelskie, namnożyło się co niemiara zwierzyny drapieżnej, szczególniej wilków, które nadto ściągały się z takich stron kraju, gdzie wrzały bitwy lub przez które przechodziły armie. Osobliwie w województwie Lubelskiem olbrzymie knieje ordynacyi Zamojskich stały się przytuliskiem mnóstwa band wilczych. Leśne lub podleśne okolice nie tylko dla trzód lecz nawet dla ludzi nie były pewne. Nie było dnia, w którymby do władzy obwodowej w Zamościu nie nadeszło kilka skarg z różnych stron tej okolicy o napadzie wilków na dobytek lub ludzi podróżujących. Najwięcej popłochu zrobiła wieść o rozszarpaniu sześciu żołnierzy, których z jakiemś poleceniem do Lublina wysłała komenda twierdzy Zamościa. O ile sobie przypominam, żołnierzy owych w miesiącu lutym rozszarpała, mimo uzbrojenia, gromada wilków w pobliżu Księżopola, do ordynacyi Zamojskich należącego. Wysłana z Zamościa cywilna i wojskowa komisya, znalazła na miejscu wypadku literalnie tylko szczątki owych żołnierzy, broń i poszarpaną odzież. I jakież środki zaradcze przedsięwzięto ze strony ówczesnego rządu? Spisano stosy protokołów, rozesłano sporo raportów i berychtów do władz wyższych — i na tem koniec. Wilków to ani wytępiło, ni też odstraszyło od dalszych rozbojów.

Lecz wracam do mego kapitana.

Czas był wojenny, Diana ustąpiła Marsowi, toż kapitan nie wiele miał chwil do zajmowania się swem ulubionem ptasznictwem — a względnie badaniem fauny miejscowej. A trzeba wiedzieć, że znał także florę i badał ją *con amore*. Dowodem tego była duża i gruba księga o kartach z prostej bibuły. Niemal za każdą kartą mieścił się zasuszony egzemplarz rośliny. Nazwy w łacińskim, niemieckim a nawet miejscowym ludowym języku, mieściły się wraz z opisem na osobnych kartach papierowych. Księgi te — gdyż było ich kilka — mimo wojennego czasu wędrowały z kapitanem. W naiwności mego chłopięctwa, osobliwie poparty w tem mniemaniu przez „forysica“ kapitańskiego, uważałem dłuższy czas te zielniki za księgi czarodziejskie. Jakże inaczej było o nich sądzić, skoro były takie duże, grube i czarno oprawne. Ileż to, myślałem, tajemnic kryją owe księgi! I słusznie — kryły się tam tajemnice — przyrody.

Kapitan przyznał się był pewnego razu, że w młodości kształcił się na profesora historyi naturalnej — ale Minerwie pochwycił adeptów Mars, a tak i on zaciągnął się w szeregi żołnierzy i do ksiąg już nie powrócił. O ile mogłem na onczas osądzić, kapitan musiał być wykształconym. Znał faunę, florę i rysował, nie wiem czy pięknie, lecz bardzo wiernie. Wizerunki drzew, zwierząt, ptaków, roślin, płazów a nawet grzybów tak były dokładnie i wiernie wykonane, że nawet ja odrazu poznawałem, co oznaczają.

W czasie zaznajomienia się z kapitanem, nic prawie nie umiałem po niemiecku, lecz po pewnym przeciągu czasu, jak to mówią „der-die-dasując“, początem z nim szwargotać niemieckim językiem. Później dość nawet dobrze nauczyłem się tej mowy, co dziś mimo braku wprawy mi pozostało. Kapitan wszystek swój czas wolny, a ja wolne od szkoły godziny, poświęcaliśmy na pobliskie wycieczki poza szańce twierdzy. Tam dopiero widzieć go było potrzeba! Mimo, że był już dobrze niemłody, zwyczajnie piechur, ruszał naprzód sporym krokiem, iż zaledwo mu dotrzymałem. Pora wiosenna i letnia, niestosowna do łowu ptactwa (czego przestrzegał), służyła nam do badań flory. Co chwila przystawał, schylał się po ziółko, owad i poczynał prelekcyę, tak malowniczymi a przystępnymi słowy, iż się nimi zachwycałem a co najważniejsze, rozumiałem. I szkolne moje przedmioty wykładał mi na owych wycieczkach i stąd umiałem je, unikając przez to plag „Schuldyrektora“, profesorów Niemców, nie lepszej od niego jakości i instruktora Łapkiewicza. Jesień i zima przeznaczone były na łowy ptasie.

Nie podobnaby mi było opisać wszystkie przyrządy i sposoby chwytania ptactwa różnego gatunku, jakich używaliśmy z kapitanem. Poprzestanę tylko na opisaniu naszych łowów na skowronki.

Mieliśmy do tego przyrząd następujący. Do drążka przymocowana była pionowo drewniana rama, zaopatrzona workiem siatkowym czyli matnią. W ramie tej zaś, z przodu, umieszczone było zwierciadło, mniej więcej sześć cali w kwadrat, całkiem ruchome, gdyż obracające się na dwóch stałych sztyftach ramy jak na osi pionowej.

Przyrząd ten, jak rzekłem, służył wyłącznie do chwytania skowronków. W miesiącach lutym, marcu, kwietniu, aż do połowy maja, ptaszki te, jak wiadomo, mają zwyczaj wśród wdzięcznego śpiewu prostopadle w górę ulatywać. W dniu bezwarunkowo pogodnym i słonecznym, z przyrządem tym, który kapitan zwał „blenderem“, wychodziliśmy w czyste pola, śledząc za unoszącymi się skowronkami. Zoczywszy skowronka jeszcze nie zbyt w górę uniesionego, kierowaliśmy przyrządem i zwierciadłem w ten sposób, aby struga promieni, odbitych od szyby zwierciadlanej, padała na unoszącego się skowronka. Ten, skoro zoczył ową smugę światła, milknął natychmiast i zaniechawszy swego w górę skierowanego lotu, puszczał się jak strzała i „bił“ ku oświeconej przez słońce szybie zwierciadlanej. Ta będąc, jak wiadomo, ruchomą, potrącona dzióbkiem ptaszyny, uchylała się i skowronek wpadał w „matnię“.

Samołówka ta służyła nam do chwytania skowronków i to jedynie w wyż wspomnianych miesiącach. Od drugiej połowy maja aż do chwili odlotu, ptaszki te zamilkają i porzucają zwyczaj unoszenia się ku niebiosom, latają jak wszystkie inne ptaki, przeto samołówka ta tylko w wiosennej porze użytą być może.

Czas jak już wspomniałem był wojenny. Przezorny główny dowódzca korpusu austryackich wojsk, rozlokowanych po przeróżnych miejscowościach tej części kraju, obawiając się być zaskoczonym z nienacka przez nieprzyjaciela, wydał nakaz komendantowi twierdzy Zamość, aby ściśle przestrzegał wszelkich ostrożności, jakich wymagają fortece, pragnące ustrzec się od niespodziewanego najścia w postaci szturmu lub oblężenia. W dodatku krążyły pogłoski, że pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego armia polska, pozostawiwszy w zajętym przez się Lwowie nieliczną jakąś załogę, zbliża się ku Lublinowi, z czego wypływało, że zmuszoną będzie dobywać twierdzę Zamość. Dla tych przyczyn i rozkazów główno-dowodzącego armią, komendant Zamościa, zda mi się jenerał Pulszky, jak najpilniej przestrzegał przepisów, praktykowanych w twierdzach w przededniu szturmu. Najprzód plakatami, w języku niemieckim drukowanymi i po rogach ulic rozlepionymi, wydał przeróżne rozporządzenia, tyczące się mieszkańców miasta, lub doń przybywających podróżnych. Z uderzeniem godziny dziewiątej wieczorem bramy forteczne — a było ich trzy: Lwowska, Szczebrze-

szyńska i Lubelska — oficyalnie przez oficera dowodzącego patrolem bywały zamknięte — poczem nie wypuszczano już i nie wpuszczano nikogo poza obręb murów twierdzy. Wewnątrz po ulicach miasta gęste krążyły patrole. Po za obrębem murów stały wedety wojskowe.

Pewnego ranka, podczas wykładu lekcyi w klasie, z całą powagą wszedł najprzód kreishauptmann zamojskiego cyrkułu w mundur przystrojony, przy szpadzie, z głową upudrowaną i ogromnym harcapem, a za nim w pokornej postawie Schuldyrektor. P. kreishauptman w niemieckiej przemowie, (którą nie rozumiejącym języka jeden z nauczycieli na polski język przełożył) oznajmił — że z przyczyn wojennych wykłady szkolne wstrzymuje i szkoły na czas nieograniczony zamyka. Uczniom zamiejscowym natychmiast do domów oddalić się rozkazano — wydawszy im „przepustki“ wolnego przejazdu przez linię wedet i mogące w danym razie służyć jako dowód dozwolonej podróży, w razie spotkania się z patrolami wojskowymi. Zamknięcie szkoły — a więc długie jakieś wakacye — wizyta niespodziewana, napełniła radością nas małych słuchaczy i sam tylko widok takich honoracyorów powstrzymał nas, iż nie wykrzyknęliśmy chórem: *Vivat!*

Zanim młodzież zdołała umyślnymi posłańcami, zawiadomić rodziców swych lub opiekunów, by ich do domów zabrano, minęło kilka tygodni, osobliwie, gdy rodzice dalej mieszkali. Feliks i Józef U. sieroty, jakkolwiek pochodzili z Ostobuża w ziemi Bełzkiej, wsi o mil kilkanaście od Zamościa odległej, zostawali na opiece stryja swego księdza U. kanonika i proboszcza Nabroża w ziemi Hrubieszowskiej. Wyprawili więc pierwszego posłańca do Nabroża i czekali przybycia podwody, któraby ich tam zawiozła. Co do mnie wyprawił instruktor Łapkiewicz pismo do ojca mego, lecz responsu i przybycia kogoś po mnie nie prędko spodziewać się było można, przeto w liście do ks. U. pisanym i o mnie zrobiono wzmiankę, upraszając — osobliwie gdy ojciec mój znanym był kanonikowi, a nawet ja z obydwoma U. zwykle na święta do Nabroża jeździłem — aby mnie także do domu księdza kanonika zabrano. Czekamy więc przybycia koni z Nabroża, do szkoły nie chodząc i nie wiele się ucząc.

To też całe dni przesiadywałem w kwaterze kapitana. Zajęty sprawami wojskowymi i służbą, nie wiele miał on czasu do oddawania się ulubionemu chwytaniu ptaków i wycieczkom przyrodniczym. Nudziło mi się więc bez mego mentora, który, będąc w ciągłej prawie służbie, nawet we własnej kwaterze rzadkim bywał gościem. Co mi robić? Pójść na polowanie z darowaną mi przez kapitana flintą? Ba! iść na polowanie, kiedy w plakatach urzędownie rozlepionych, wszelkie strzelanie z broni palnej jak najsurowiej zakazane. Co mi rozkaz, co mi plakaty! Kapitana nie było na kwaterze, służący jego gdzieś wyszedł — więc rozebrawszy niewielką strzelbinę, ukrywszy ją pod długo-polisty surdut, i nabrawszy amunicyi nieco w kieszenie, wykradam się po ze bramę Szczebrzeszyńską, na pobliski staw, celem zapolowania na kaczki, łyski lub w ostateczności na kurki, których tam było jak mrowia.

Staw ów przylegał prawie do pierwszych okopów fortecznych, oddzielony od nich wysoką groblą. Na grobli tej stały placówki, na dalszych zaś brzegach stawu z rzadka rozstawione wedety. Przez kapitana znali mię niemal wszyscy wojskowi, toż nie zaczepiony przez nikogo, doszedłem do miejsca, w którem w trzcinach ukryte — co tylko mnie i kapitanowi było wiadomo — znajdowało się niewielkie czółenko. Dobrawszy się czółna i wypłynąwszy między trzcinami w labirynt halawek, ukrytych dla oczu, patrzących z brzegów lub grobli, sądziłem się jak to mówią królem, którego niczyje rozkazy i rozporządzenia nie obchodzą. Dopływam tedy krętym, pomiędzy trzcinami wijącym się kanałem do jednej z halawek. Patrzę — stadko kaczek i dość nawet skupione. Mierzę, palę i trzy naraz ubijam.

Ledwie strzał mój przebrzmiał, aż tu słyszę, w dali pada strzał jeden, drugi, trzeci — ba! poczęła się gęsta pukanina z odstępami. Żadnym sposobem na razie pojąć nie mogłem przyczyny owych strzałów. Przyczaiwszy się tedy jak zając w komeszy, czekam, co z tego wyniknie. Słucham, w twierdzy poczynają grzmieć tarabany. Na grobli słychać tętnienie koni i szczęk szabel, uderzających o strzemiona podczas galopu. Może napad spodziewany nieprzyjaciół na twierdzę? Co pocznę w tym przypadku? Przeczekam, strzelbinę ukryję gdzie w trzcinach i gdy bitwa ucichnie, popłynę ku brzegowi.

Strzały ucichły, lecz owa latanina kawaleryi trwała jeszcze godzin kilka. Gdy wreszcie i to przycichło, ukrywszy, jak w myśli przedsięwziąłem, strzelbinę i amunicyę pomiędzy trzcinami, ruszyłem do odwrotu.

Słońce poczęło już zniżać się ku zachodowi, gdym stopą dotknął stałego lądu. Co tu wojska na grobli! Idę śmiało pomiędzy nich — a tu gruby major (pod tem nazwiskiem znany był w całym Zamościu) nuż mnie wypytywać, czym kogo nie widział, lub czy nie wiem od kogo strzał pochodzi. Samo się przez się rozumie, że na pierwsze pytanie odpowiedziałem prawdę, iż nikogo nie widziałem — na drugie zaś skłamałem, domyślając się wreszcie, że to ja sam byłem przyczyną alarmu.

— *Jetzt tumle dich mein Kind, denn bald wird das Thor geschlossen* — dodał major, obyczajem niemieckim szczypiąc z lekka moją od strachu zarumienioną twarz.

Wnet dopadłem bramy i stanąłem w mieszkaniu, czyli tak zwanej „stancyi“. Mieszkańcy miasta widząc, iż z po za bramy fortecznej przybywam, liczne po drodze czynili mi zapytania, ażali to prawda, że szturm na fortecę spodziewany — gdyż liczne słyszano strzały i cała załoga pod bronią stanęła. A najpocieszniejsze ze wszystkiego, że wielu rządowych urzędników a znimi i Schuldyrektor, na łap cap! spakowawszy swe rzeczy, co tchu podwodami bramą Lubelską z Zamościa wyjechało.

Rozumie się, że nikomu z żyjących w Zamościu nie przyznałem się do tego bezwiednie Niemcom wyprawionego figla. Kapitan tylko był wyjątkiem. Schmurzył się na razie, słuchając mojej spowiedzi. Nie długo jednak trwał ten mars na jego twarzy, i gwałtownym wybuchnął śmiechem. Poczem po strzelbinę ukrytą w trzcinach wspólnie z kapitanem na staw popłynęliśmy i przywieźli takową.

Nadjechała wreszcie od księdza kanonika z Nabroża duża staroświecka bryka, ciągnięta trzema średniej miary, bardzo starymi lecz i bardzo tłustymi końmi — powożona przez niemłodego zakrystyana Franciszka, z którym ja, mimo znacznej różnicy wieku, w wielkiej żyłem przyjaźni. Więc żegnać mi mego poczciwego kapitana. Biegnę tedy i na szczęście zastałem go na kwaterze. Co powiecie, płakał jak bóbr — wypuścić mnie niechcąc z swych objęć.

— *Bube!* — mówił do mnie po niemiecku — pamiętaj na swego starego przyjaciela. Gdy losy zezwolą, odwiedzę cię w domu twoich rodziców.

Lecz nie widziałem go już więcej w życiu. Może zginął w bitwie, lub może nie mógł dotrzymać danej mi obietnicy.

Opatrzeni tedy w urzędowe cedułki, ruszyliśmy wczesnym rankiem ku Nabrożowi — na zawsze, ja przynajmniej, pożegnawszy znajomych i mury Zamościa.

Nie tęga moja niemieczczyzna (zdaniem zakrystyana Franciszka szczyt umiejętności lingwistycznej) w podróży do Nabroża wielokrotnie stała się nam, osobliwie mnie, wiozącemu ukrytą na dnie bryki strzelbinę i nieco amunicyi, wielce przydatną. Skoro bowiem napotkał nas patrol austryacki, wnet ja wyjeżdżam z moją niemieczczyzną — co komendant patrolu usłyszawszy, zaprzestał wszelkiego konfrontowania kto, skąd, czy ma dokumenta dozwalające podróż, lecz dodawszy jeszcze: *Glückliche Reise!* na odjazd zezwalał.

Jechaliśmy najczęściej stępo, bo gdyśmy chcieli szybciej jechać po piasczystej drodze i w skwar czerwcowy, tłuste i wiekiem sędziwe rumaki mocno się pociły, wyglądając jakby po kąpieli. Stary zakrystyan, przy którym usadowiłem się na koźle, gdy nie drzemał, ciągle perorował coś do któregoś z koni:

— Ej „dziecina!“ (tak zwała się klacz gniada, na której on lub organista mieli zwyczaj jeździć za odbiorem „dziesięciny“ po dworach okolicznych) — czego spychasz do rowu „starostę“ (czarnego jak kruk konia, lecz z posiwiałą od wieku głowę). Ej! zatnę cię batem! — dodawał wymachując biczem, którym, jak zwykli mawiać furmani, chyba myszy straszyć nie konie popędzać.

To znów przemawiał do ambicyi „pliszki“, klaczy siwej, idącej na biczowniku, która słynnie umiała udawać, że ciągnie, gdy właściwie szła luzem obok koni. Ujechawszy około trzech mil lasem ordynackim, ujrzeliśmy zdala topole i lipy, okalające dwór wsi Wożyczyna.

W tym Wożyczynie mieszkał p. Ksawery Wydżga, herbu Jastrzębiec, tytułowany starościcem. W czasie, gdy go poznałem, był to człek dobrze już stary. Słusznego wzrostu, głowę porastały długie, siwe włosy i takaż broda, przytem strój dziwaczny, bo jakaś długa i fałdzista suknia barwy szarej, to zaś najdziwaczniejsze, że zamiast butów, nosił postoły z kory lipowej. Gdyby nie twarz z dziwnym wyrazem łagodności a raczej jakiegoś smętku, wyglądał — przynajmniej dla nas niedorostków — strasznie. Lud prosty, nie znając dokładnie obyczajów starościca, zwał go Farmazonem.

Staroście mówił po polsku źle, szpecąc mowę przymieszką słów francuskich lub niemieckich. To skażenie mowy ojczystej i nabranie dziwnych obyczajów wynikło z długoletniego przebywania starościca za granicą, a najdłużej w Niemczech. W bardzo młodym jeszcze wieku, ówczesnym magnackim zwyczajem, oddanym został przez ojca do szkół w Paryżu, a później przebywał na dworze Augusta III. w Dreźnie. Następnie przez długie lata słych o nim zaginął, tak, iż nawet pozostali bracia rodzeni, zmarłym go sądzili. Aż pewnego dnia, po dwudziesto-kilkoletniej nieobecności, zjawił się Ksawery Wydżga, mową, strojem, wreszcie twarzą tak odmienny, że gdyby nie dokładne z jego strony wyjaśnienie, co się tyczy parenteli osób pojedyńczych, wreszcie opisu dziedzicznego gniazda Wydżgów, osądzonoby go oszustem, pragnącym wkraść się do zamożnej rodziny. Stało się jednak; wrócił syn zagubiony, lecz nie marnotrawny, albowiem od wielu lat zaprzestał wszelkich komunikacyj, nawet listownych z rodziną, a tem samem nie wymagał od niej żadnych subsydyów. Bracia — ponieważ ojciec oddawna już nie żył — w całości oddali Ksaweremu przypadłą nań część ojcowizny, tj. Wożyczyn z przyległościami, gdzie też zamieszkał.

Majątek ten, niezbyt rozległy, ale położony w słynnej z urodzajności ziemi Hrubieszowskiej, śmiało mógł być nazwany pańską fortuną. Wszystkie budynki były murowane. Dom mieszkalny, a raczej piątrowy pałac, czerwoną kryty dachówką, z wszystkich stron otoczony był wałami o ciosowych ścianach z zewnątrz. W pewnych odstępach na wierzchu tych okopów stały budki strzelnicze. Stajnie dworskie i oficyny mieściły się w obrębie tych miniaturowych fortyfikacyj, zapieranych na noc dwoma na przeciwległych stronach zawieszonymi bramami, a raczej mostami zwodzonymi.

W domu mieszkalnym mnóstwo było po pańsku urządzonych pokoi — lecz mimo to staroście nigdy w nich nie mieszkał. Wróciwszy dziwakiem z swej długoletniej wędrówki po cudzych krajach, jak mówią zdziwaczał do reszty, przetwarzając dom mieszkalny na rodzaj kasztelu i urządzając go wytwornie na to, by później w nim nie mieszkać. Dla siebie bowiem zbudował rodzaj pustelni w pobliskim własnym lesie. W środku dębowego lasu wznosił się dość stromy i obszerny kurhan, mający pochodzić z czasów pogańskich. Do mogiły tej przytykała obszerna łąka, a środkiem niej płynął strumyk. Otóż na szczycie tej mogiły pobudował sobie staroście pustelnię, t. j. domek mieszkalny o dwu izbach i malutkiej stajence na kilka sztuk kóz w jednym rogu, w drugim zaś rogu mieściła się kapliczka z dzwonkiem, umieszczonym w małej kopułce. Wewnątrz izb mieszkalnych nikt, nawet kapelan starościca nigdy nie był, toż ich opisać niepodobna. Kapliczkę znam, gdyż dwukrotnie do mszy tam służyłem.

Raz pamiętam, było to w święto Bożego narodzenia Mszę odprawiać miał ksiądz U., kanonik Nabrozki. Po wilii mówi do nas ksiądz kanonik:

— Skoro odprawię „Pasterkę“, ty Onuferciu i Józiu pojedziecie zemną do Wożuczyna. Tam w kapliczce pana starościca ja mszę odprawię, a wy będziecie mi do mszy służyli; tylko być grzecznym a nie bać się — dodał.

Ostatnia przestroga wiele nam dała do myślenia. Długo z Józefem debatowaliśmy, co by owo „nie bać“ się oznaczać miało.

O świcie dnia Bożego narodzenia, ruszyliśmy saniami do Wożuczyna. Okutani z Józefem w olbrzymich rozmiarów wilczurę, spaliśmy jak bobaki cały czas trwania tej kilkomilowej podróży. Obudził nas dopiero głośny tętent kopyt końskich na moście zwodzonym przy wjeździe w dziedziniec Wożuczyński. Na ganku stary jegomość jakiś z estymą wysadził kanonika, a nas obydwu, jak myszy spoconych, porwali dwaj służący, w środek dużych sieni zanosząc. Nas pożywiono piwem grzanem, kanonik zaś jako przedemszą pozostał naczczo.

Nie pomału zdziwiliśmy się, gdy służący począł z nas zdejmować strój, w którym przyjechaliśmy, wkładając na nogi miast butów postoły lipowe i okręcając, że był mróz, sporymi płóciennymi chustami. Zamiast surdutów lub płaszczów, dano nam płócienne dobrze watowane bekieszki. Nawet ksiądz kanonik swoją ulubioną lisami podbitą sutannę zdjąć musiał, przywdziewając jak i my płócienną, watowaną kapotę. Nogi niemniej po naszemu w lipowe postoły miał obute. Metamorfoza ta dziwiła nas i śmieszyła. Co spojrzym na siebie lub kanonika, to głośnym wybuchamy śmiechem. Osobliwie obówie nasze i księże najwięcej wydały nam się pocieszne; wyglądaliśmy jak niedzwiedzie, zostawialiśmy po za sobą niezgrabne tropy na śniegu, dążąc do pustelni starościca.

Wchodzimy do otwartej na roścież kapliczki. Okropność! Jak grobowiec czarno wewnątrz pomalowana. Jedno malutkie

okienko nie wiele udzielało światła — w dodatku kanonik po wejściu do kapliczki zamknął drzwi, więc ciemno, tylko świece z jarego wosku na ołtarzu gorejące, rzucają jakieś niemiłe żółte światło. Kanonik począł wdziewać mszalne szaty, a my z Józefem stoimy przytuleni do siebie, trzęsąc się ze strachu. Naraz otwierają się drzwi kaplicy i pojawia się straszna, w czarnym stroju, białowłosa i brodata, słuszna postać. Z obydwu naszych piersi wyrwał się okrzyk „oj!“... I już chcemy dyrnąć i skryć się bodaj w mysią dziurę — kanonik wszakże cichem przemówieniem: „Cicho! to starościc, nie bać się!“ — oprzytomnił nas, a raczej wywiódł z tego ogromnego strachu.

Posadzka w kapliczce była ceglana. Starościc całą dość długą mszę krzyżem na niej przeleżał, wzdychając i mrucząc modlitwy. Jakkolwiek obaj z Józefem doskonale znaliśmy „ministranturę“, niemniej, jak i wszelkie formy przy usługiwaniu do mszy, przecież z usług naszych nie wiele kanonik owym razem miał pomocy. Dłuższy czas z podobnym widokiem nie mogliśmy się oswoić i drzeliśmy od strachu, słysząc ponure mruczenie tuż po za sobą na cegłach leżącego strasznego starościca.

Msza skończyła się wreszcie. Kanonik zdjął mszalne szaty, a starościc podniósł się i począł doń przemawiać łacińskim językiem. Do nas przemówił miło dźwięcznym głosem po polsku, lecz dziwnie cudzoziemskim akcentem.

— „Dziękoje wam dietiaszki — nebojte się mnie“.

Po krótkiem pożegnaniu kanonika z starościcem ruszyliśmy z powrotem ku dworowi Wożuczyńskiemu. Na wstępie do dworu, wraz z opłatkiem, z którym nas rządzca dóbr starościca powitał, wręczył kanonikowi ofiarę za odprawioną mszę, pięć nowiutkich dukatów, nam zaś jako ministrantom po jednym. Spożywszy śniadanie wróciliśmy do Nabroża.

(Dokończenie nastąpi).



Mürzsteg.

Przy każdej sposobności, gdy się słyszy lub czyta o wielkich łowach cesarza Austro-Węgier, wymieniana bywa miejscowość Mürzsteg. Leży ona w Styryi, a liczni podróżni, którzy jadą koleją południową na Simering, przebywając stacyę Mürzzuschlag, są zaledwo o trzy mile od uroczej stacyi myśliwskiej cesarza oddaleni.

Od Mürzzuschlagu odłącza się króciutka boczna linia do Neubergu, a stąd można już pieszo urządzić sobie cudowny spacer do Mürzsteg. Ci, co odprawiają wędrówki do sławnego miejsca odpustowego Mariazell, na granicy Styryi i Austryi Dolnej, znają dobrze Neuberg i Mürzsteg, gdyż tędy droga ich prowadzi. A wkrótce będzie można do wszystkich tych miejsc na skrzydłach pary się dostać, gdyż trasują już obecnie linię, łączącą Neuberg przez Mürzsteg do Schrambachu w Austryi Dolnej, gdzie nastąpi połączenie z linią kolei państwowej.

Styrya należy, jak wiadomo, do krajów najbardziej obfitujących w lasy. Prawie połowa tego kraju okryta jest rozległymi borami, pośród których znajdują się rewiry, wyłącznie do polowań dworskich przeznaczone. Porozrzucane gdzieniegdzie w tych rewirach zameczki myśliwskie jak Radmer, Eisenerz, Mürzsteg i Neuberg, są prawdziwą ozdobą tych wielkich obszarów leśnych.

Jakim jest stan zwierzyny w tych lasach, wykazują coroczne dokładne sprawozdania.

I tak w jednym tylko roku 1885 wykazano następującą ilość ubitej w Styryi zwierzyny: 2.517 sztuk jeleni, 96 danieli, 7.556 sarn, 2.494 kozic, 69.694 zajęcy, 10.835 bażantów, 42.707 kuropatw, 3.515 lisów, 8.578 przepiórek, 1.512 głuszców, 2.789 dzikich kaczek, 864 cietrzewi itd.

Kto miał tylko raz sposobność kiedyś przebyć pieszo drogę z Neuberga do Mürzsteg, temu z pewnością nie zatrze się w pamięci ta rajska prawie okolica.

Już bowiem Neuberg należy do miejscowości bardzo pięknie położonych i w ogóle bardzo licznie w lecie odwiedzanych. Niezwykła rozległość lasu, przeczyste powietrze, niebotyczne skały i góry — wszystko to na podróżującym głębokie wywiera wrażenie. Można tam często napotkać sosny i jodły takie, jakie by nawet i w Norwegii podziwiać trzeba, a u stóp ich, pośród skał, płynie z szumem i hukiem górska rzeczka Mürz.

W drodze do Mürzsteg zwęża się powoli rozległa leśna dolina. Z obu stron ukazują się wyniosłe szczyty górskie, z których jeden dochodzi nawet 4.590 stóp, i jakby przez jakąś bramę ze skał utworzoną, ukazuje się podróżnikowi uroczy Mürzsteg.

Miejscowość ta leży stosunkowo bardzo wysoko, gdyż około 2.500 stóp nad poziomem morza. Coś bardziej pięknego i pociągającego trudno sobie wyobrazić. Na lewo od głównej drogi wznosi się skromny ale piękny kościółek, po prawej zaś stronie piątrowy budynek szkolny, któregoby niejedno większe miasto tej małej miejscowości, mającej zaledwie 200 mieszkańców, pozazdrościć mogło. Budowę tę wykończono przed kilku laty, na co tamtejsza gmina ofiarowała przeszło 20 tysięcy zł.

Sama miejscowość Mürzsteg miała w r. 1880 zaledwie 206 mieszkańców. Należących jednak do gminy i parafii tamtejszej, a mieszkających po górach i połoninach górskich, było razem 2.030. A chociaż chaty są rozrzucone, bardzo surowo przestrzegają tu ogólnego przymusu szkolnego. Nieraz wśród najtęższej zimy małe bębny muszą i pół godziny biec do szkoły, przez góry i krzaki, wśród śniegu i zawiei, a potem znów z powrotem do domu. Lecz właśnie dlatego wyglądają dobrze. W ogóle dzieci tak zdrowych rzadko gdzie napotkać. Jeżeli w zimie śnieg pokryje góry, natenczas dla skrócenia sobie drogi urządzają te bębny przejażdżki sankami. Dwoje lub troje dzieci siada na bardzo prymitywnie urządzone saneczki i z błyskawiczną prawie szybkością zsuwają się po pochyłości górskiej na dół. Cała taka podróż trwa zaledwie kilka minut. Jakkolwiek o przypadek w takiej podróży nie trudno, prawie nigdy nie wydarzy się tym dzieciom coś złego, gdyż mali podróżnicy znają wybornie teren i w ogóle całą okolicę.

Łatwo to zjechać, ale trudniejszym zato staje się powrót na górę. Nie wypada nic innego, jak tylko, wziąwszy sanki na plecy, drapać się długo do góry. Nie przeszkadza to jednak małym amatorom sanny, aby na drugi dzień tę samą przyjemność kilka razy powtórzyć.

Oprócz kościółka, budynku szkolnego, domu nadleśniczego, jakoteż poczty i mieszkania proboszcza, jest jeszcze w Mürzsteg może jakie pół tuzina domów. Otóż właśnie ta niewielka liczba mieszkań jest powodem, że nie każdy zwykły śmiertelnik może się odważyć wyjechać na lato do Mürzsteg. Oprócz kilku mieszkań u księdza, nadleśniczego i u kupca, które zresztą corocznie są stale tylko pewnym osobom protegowanym wynajmowane, jest jeszcze gospoda, w której wszyscy inni „letnicy“ pomieścić się muszą.

Było to w sierpniu. Pewnego dnia popołudniu udałem się do Mürzsteg, w celu zwidzenia zameczku myśliwskiego. Zameczek ten, zbudowany nad rzeczką Mürz, leży po prawej stronie od gospody, na pochyłości górskiej, otoczony niezwykle wielkim parkiem.

Zgłosiłem się z zamiarem zwidzenia tego miejsca i wkrótce zjawiła się żona podleśniczego, bardzo rozsądna i uprzejma kobieta, aby mnie oprowadzić i niektóre rzeczy objaśnić. Dziwnym trafem, miałem sposobność sam jeden zwiedzać zamek, gdyż zwykle w dnie pogodne liczba zwiedzających bywa bardzo wielka.

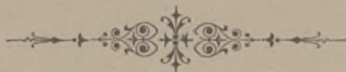
Sam zamek jest to piękna budowa z ciosowego kamienia. Wzdłuż parteru od frontu ciągnie się wielka szwajcarska weranda, przed którą obfite klomby kwiatów miłe sprawiają wrażenie. Nad parterem wznosi się wysokie piątro, i stamtąd dopiero nasycić się można cudnymi prawdziwie widokami. Patrząc stąd na niebotyczne szczyty „Hoher Veitsch“ znanego olbrzyma północnej Styryi, na którym nieraz i wśród gorącego lata śnieg połyska, doznaje się podniosłego wrażenia. Stąd widać także wysoką na 1.565 metrów i aż po sam szczyt prawie zalesioną „Lachalpe“, która na wysokości 5.000 stóp olbrzymią halę stanowi. Do wszystkich okien zamku zaglądają rozległe, niezmierzone, prawie zawsze zielone bory jodłowe i świerkowe. Wszystko to razem tworzy całość tak uroczą, że o piękniejszej nawet marzyć nie podobna.

Zamek myśliwski w Mürzsteg jest prawie największym ze wszystkich, jakie są wogóle w posiadaniu domu panującego, bo liczy około 50 pokoi. Zaraz na wstępie, w klatce schodowej, znajdują się misterne płaskorzeźby, przedstawiające po większej części sceny z życia górali alpejskich. Szkoda tylko, że zwiedzając zamek, niedługo się można przed nimi zatrzymywać i trzeba się zadowolnić przelotnem ich oglądnięciem. Niezliczone mnóstwo rozmaitych rogów, również w przedsionku umieszczonych, przypomina zwiedzającemu znakomity stan zwierzyny tamtejszych lasów.

Na dole znajduje się obszerna jadalnia drzewem wykładana, a upiększona snycerką i obrazami, które treścią swą odpowiadają przeznaczeniu sali. Sypialnie tak cesarskie, jak również rozmaitych corocznie tu przebywających dostojnych gości, jakoteż salony, znajdują się na piętrze. Sprzęty w tych komnatach są po największej części z żółtego drzewa jałowcowego. Wszystko urządzone z prostotą i skromnością a przecież poważnie i domasznie. We wielu salach można napotkać piękne obrazy olejne i pastele.

Ze skromnie urządzonej sypialni cesarza weszliśmy do jakiejś większej sali. Po minie przewodniczki mej poznałem, że z salą tą łączą się jakieś smutne wspomnienia. W istocie dowiedziałem się, iż była to sypialnia śp. arcyks. Rudolfa. W styczniu r. 1889 przebywał on tu po raz ostatni, na kilka zaledwie dni przed śmiercią, wyjechawszy na łowy w towarzystwie szwagra, swego ks. Leopolda Bawarskiego i adjutanta tegoż, bawarskiego pułkownika v. Spindler. W sąsiednim pokoju do gry, przechowaną jest na pamiątkę czarna tabliczka łupkowa, na której arcyksiąże zapisywał liczby z ostatniej swej partyi whista. Nawet karty te same leżą na stoliku nietknięte tak, jak je po skończonej grze pozostawiono.

Pogrążony w smętnej zadumie nad znikomością wszystkiego, co ziemskie i niestałością szczęścia ludzkiego, opuściłem ten tak z innych względów uroczy i wesoły zameczek. Przy głównym wchodzie znowu wielu ciekawych czekało. Moja przewodniczka zwróciła się do nich, ja zaś ruszyłem na sąsiednie skały i góry, aby tam z wiecznie zielonego lasu, przy zachodzie słońca, oblewającego purpurowem światłem ściany i przepaście „Hoher Veitsch“, nasycić się widokami, podnoszącymi serce, i kojącymi duszę na łonie przyrody. *P.*



Z łowów na łosie w Szwecyi.

Mnogość zwierząt, należących do wysokich łowów i mających nieprzeparty urok dla każdego prawdziwego myśliwca, zwabia niejednokrotnie wybitnych łowców z kontynentu i W. Brytanii na skalisty i lesisty półwysep Skandynawski. Szczególnie łoś i dziki ren są tymi zwierzętami łownymi, na które się myśliwi innych krajów do ziemi Ossyana przeprawiają, chcąc zaznać jeszcze łowów w całej ich romatycznej piękności i grozie pierwotnej — niepomni trudów i niebezpieczeństw, które są przytem do pokonania.

Jednym z ostatnich, który w szczupłem gronie towarzyszy na łowy takie się wybrał, jest arcyksiążę Franciszek Ferdynand Este. Towarzyszyli mu hr. Leon Wurmbrand, hr. Hardegg i podpułkownik Harmens.

Dnia 19. września przybył arcyksiążę pociągiem pospiesznym z Malmö do Sztokholmu, a następnego dnia udał się z tą małą świtą do Ferna, posiadłości hr. Hermansohna, gdzie tenże oczekiwał dostojnego gościa.

Hr. Hermansohn, stary i doświadczony myśliwy, który z powodu podeszłego wieku nie może już sam prowadzić łowów i szukać tropów łosich, wydał tylko ogólne rozkazy, bliższą zaś komendę zdał na hr. Hardegga, który już nieraz bywał we Ferna i okolicę tamtejszą zna dobrze. On też towarzyszył arcyksięciu i tak jemu jak i innym myśliwym, w zastępstwie właściciela polowania, udzielał wskazówek, jak łosie podchodzić należy.

Ogromne, okiem prawie niezmierzone bory Ferny, stanowiły knieję myśliwską arcyksięcia i jego świty. Wstępne

zadanie łowów miały, jak zwykle, do spełnienia psy; powinnością ich było iść za tropem łosia i na strzał go wystawić.

Zaledwie myśliwi nasi na 500 kroków w las się zapuścili, oznajmiły psy charakterystycznem szczekaniem, że trop jest świeży i że łosie muszą być w pobliżu. Spuszczono je ze sfory. Wyborna mała suka, „Klinga", pomknęła szybko w las, niezadługo łosia wystawiła i zaczęła oszczekiwać. Arcyksiążę, mając przy sobie „skowaktera" (strzelca) Holmberga, począł się podsuwać ku miejscu, skąd szczekanie dochodziło. Inni towarzysze arcyksięcia pozostali nieco w tyle, aby strzałowi nieprzeszkodzić.

W kilka sekund potem, odezwał się strzał i zaraz drugi strzał, dany przez arcyksięcia, a Holmberg zawołał, że łoś padł na miejscu. Zbliżyli się więc inni towarzysze łowów i ujrzeli na ziemi łosia, byka, sztukę kapitalną, ważącą 668 funtów, z potężnymi rosochami.

Oba strzały dane były w komorę i padły niemal kula na kulę. Tym zaś, którzyby nie dowierzali, że tak strzelić było można, wypada wyjaśnić, że łoś, wbrew zwyczajowi jeleni i innych zwierząt łownych, jeśli jest celnie trafiony, stoi na miejscu zamiast się rzucać do ucieczki, drętwieje niemal, dlatego można go drugi raz w to samo miejsce ugodzić. To też Szwedzi, chcąc objaśnić, że zwierz jest śmiertelnie ugodzony, mówią: „Mój strzał był śmiertelnym, gdyż łoś po nim stanął, jak wryty."

Arcyksiążę był tym pomyślnym wynikiem łowów bardzo uradowany, zwłaszcza, że niemal na wstępie do szwedzkich borów ubił takiego kolosa, którego z naszym jeleniem nawet nie można porównywać.

Zachęcony tedy tak dobrym początkiem, postanowił arcyksiążę spróbować dalszego szczęścia. Jakoż po całogodzinnym prawie, dość uciążliwym pochodzie, wpadły psy na świeże wytłoki stadka łosiów, z trzech sztuk się składającego. Wytłoki prowadziły drogą leśną na pagórek, na którym stare ogromne sosny majestatycznie się wznosiły. Spuszczono tedy po raz drugi psy i w oddaleniu może jakich 300 kroków usłyszano znowu zajadłe naszczekiwanie „Klingi". Arcyksiążę, już tym razem więcej ze sposobem podchodzenia łosi obeznany, ostrożnie wspinał się na pagórek, podczas gdy mały jego orszak w natężeniu oczekiwał wyniku. Po kilku zaledwo sekundach padł strzał, a po nim usłyszano rżenie trafionego łosia. Wtedy hr. Hardegg, będący tuż koło arcyksięcia, poskoczył i dobił kordelasem padłego po strzale młodego łoszuka. Arcyksiążę podbiegł tymczasem i drugą kulą powalił klempę.

Ale i trzecia sztuka, tj. drugi łoszuk tego stada, nie uszedł losu poprzedników, wkrótce bowiem został przez „Klingę" wystawiony i przez arcyksięcia celnym strzałem ubity.

Po trzechdniowym pobycie w Fernie, wyjechał arcyksiążę wraz z całą świtą do Herljunga, i tu 24. września o godzinie 8 rano spotkał się z królem Oskarem, który w celu polowania w liczniejszem towarzystwie tam przybył. Między innymi towarzyszyło królowi kilku członków królewskiego klubu myśliwskiego, zaproszonych na polowanie.

Klub myśliwski, jest to Towarzystwo, utworzone za inicyatywą króla, w celu podniesienia stanu myśliwstwa w kraju. Dla użytku swych członków, dzierżawi klub powyższy ogromne obszary. Tak jak urzędy wielkich łowczych koronnych itp., piastowane w Szwecyi tylko przez najpierwszych panów i pierwszych myśliwych kraju, są godnościami honorowymi, tak i przyjęcie do klubu myśliwskiego, którego członków sam król wybiera, jest oznaką szczególnego odznaczenia i łaski królewskiej.

Otóż i teraz król Oskar, gdy się dowiedział o tak świetnym wyniku polowania arcyksięcia, natychmiast mianował go członkiem swego klubu. Po śniadaniu na stacyi Herljunga, udał się król z arcyksięciem i całym orszakiem do Halleberg, gdzie na 24. września zapowiedziane było polowanie.

Wielki łowczy koronny, hr. Ankakrona, porozdzielał między myśliwych numera, wedle których stać mieli na stanowiskach, poczem sam król dał zebranym krótkie objaśnienie, w jaki sposób łowy będą prowadzone.

Arcyksięciu przeznaczono stanowisko, do którego z jednej strony przytykało małe bagno, a za niem rozległa równina, z drugiej zaś strony małe jezioro.

Zaledwie gon się rozpoczął, a już huknęły pierwsze strzały. Arcyksiąże ubił zaraz z początku wielkiego łosia, byka z rosochami o ośmiu końcach, a potem jelenia widłaka i dwa jelonki. W drugim miocie, w którym król powalił łosia dziesiątaka, arcyksiąże ubił znowu łosia o 6 końcach. Na rozkładzie znaleziono razem 21 łosi.

Po powrocie do Herljunga, nastąpiło pożegnanie arcyksięcia z królem, któremu arcyksiąże wyraził gorące podziękowanie za tak gościnne przyjęcie i za prawdziwą biesiadę myśliwską w kniejach szwedzkich.

Wieczorem król Oskar wyjechał na wyspę Bromo, aby tam następnego dnia zapolować na zające, arcyksiążę zaś, korzystając jeszcze z otrzymanego pozwolenia, udał się z hr. Wurmbrandem i hr. Hardeggiem do Hunnebergu, aby tam jeszcze raz spotkać się z łosiem.

O świcie d. 25. września udał się arcyksiążę z obydwoma swymi towarzyszami do Lilleskuk, gdzie na nich łowczy królewski oczekiwał. Całą noc poprzednią padał ulewny deszcz, i to zatrzymało zwierza w gęstwinach, gdzie go trzeba było wyszukiwać. Wszakże i tym razem nie opuściło arcyksięcia szczęście, gdyż i tu, również przy pomocy „Klingi", jeszcze jednego łosia ubił. Około południa nastąpił powrót do Herljunga, i na tem zakończono tak pomyślne łowy w Szwecyi.

(Wedle *Jagd-Zeitung).*

KORESPONDENCYE.

Berlin 18. grudnia 1890.

(Knieje i łowy cesarskie. — Z towarzystwa ornitologicznego.

Zdziwicie się, że wam pragnę z nad Sprewy pisać o łowach. Łowią tu wprawdzie, — ale nie zwierzynę i nie w szlachetny sposób myśliwski — chociaż mają i Niemcy prawdziwych, a znakomitych myśliwych i pielęgnują starannie myśliwstwo.

Młody cesarz niemiecki doprowadza dziennikarzy do rozpaczy, bo wszędzie go pełno. To odbywa podróże we

wszystkich kierunkach świata, to konferuje z robotnikami, to wznosi toasty na ucztach wojskowych, to przemawia na ankiecie szkolnej o wychowaniu — a pomiędzy tem wszystkiem ma jeszcze dość czasu, ażeby jeździć na łowy i uprawiać ten sport z zamiłowaniem.

Jedną z najciekawszych kniei, gdzie Wilhelm II. z przyjemnością poluje, jest Pszczyn, czyli po niemiecku Pless na Szląsku pruskim. Jestto jedyny już dziś punkt w całych Niemczech, gdzie przebywa jeszcze żubr, który niegdyś wraz z turem lasy północnej Europy zamieszkiwał. Tur wyginął już w wieku XVI, ponieważ jednak pamięć o nim pozostała, więc postacie tura i żubra zlały się w jedno i dziś obie te nazwy mieszają i do jednego gatunku zwierza odnoszą. W stanie zupełnie dzikim znachodzi się jeszcze żubr — i to dość rzadko — na Kaukazie, a strzeżonym i hodowanym jest już tylko w puszczy Białowieskiej, — w której, jak wiadomo, jeszcze za Augusta III w roku 1752 w jednym dniu 42 żubrów ubito, — i w kniei pszczyńskiej. Między turem dawnym a dzisiejszym żubrem zachodzi ta różnica, że tur miał rogi dłuższe, szeroko rozstawione, żubr zaś, bardziej do północno-amerykańskiego bawoła podobny, krótkimi tylko opatrzony jest rogami.

Otóż całe Niemcy już dziś tylko w jednej pszczyńskiej kniei posiadają żubra, troskliwie pielęgnowanego. Ale Pszczyn bogatym jest także w inne gatunki zwierzyny, są tam sarny, zające, dużo bażantów, dosyć kuropatw itd.

Pszczyn leży na stoku górskim, tworzącym dział wód pomiędzy dopływami Odry i Wisły, a najwyższy punkt tego stoku zajmuje obszerny i piękny zamek książąt pszczyńskich. Olbrzymim wieńcem otaczają tę rezydencyę ciemne bory świerkowe, przegradzane tu i owdzie partyami liściastymi. Cała olbrzymia knieja jest z wielką starannością utrzymywana, grube sumy wydawane są na żywienie zwierzyny w ciągu zimy, ale też roją się od niej lasy. Dwie duże bażantarnie sąsiadują tuż ze zamkiem, a jaka tam ilość tego ptactwa, dość powiedzieć, że na bieżący sezon łowiecki 2.500 kogutów przeznaczono do strzału. Mnogość pożywienia sprowadza także i utrzymuje przez zimę dużo innego ptactwa. Wśród ciągłego szczebiotu przemykają się między gałęziami pracowite sikory, czyżyki żerują hałaśliwie na szyszkach olszynowych, dzięcioł wali w korę, jak rębacz, uwijają się sojki krzykliwe i wrony, patrząc chciwie za odpadkami żeru, tu i owdzie kruk samotny spaceruje — wszędzie więc ruch, pomimo martwoty zimy. Sów także co niemiara, bo księstwo Pszczyńskie, podobnie jak cały Górny Szląsk, nawiedza w ostatnich czasach klęska myszy i dostarcza im pożądanego żeru. Pomiędzy tem wszystkiem siedzą gęsto na śniegu, jużto parami, jużto większymi gromadkami bażanty, tak do człowieka przyzwyczajone, że trzeba im niemal na ogon nadeptać, aby się zrywały. Często nawet nie można ich tyle ubić, ile się zamierza, bo bażant nic sobie nie robi z nagonki, przysiada tylko twardziej i nie rusza się z miejsca, albo zasuwa się między szpilkowe kultury, gdzie go dojść niepodobna. Starsze koguty przechadzają się samotnie po śniegu, bardziej dla ruchu niż dla żeru, przybierając poważną postawę.

Ostatnie łowy cesarza Wilhelma w pszczyńskiej kniei odbywały się w dniach 28. i 29. listopada.

O wielkich łowach nie było mowy, bo na żubry w zimie się nie poluje. Natomiast zapłacić musiał swą skórką biedny „kuba“, jak tam lud polski zająca nazywa, i bażanty. Na zająca polowano na polach i w kniei. Oprócz cesarza było jeszcze czternaście strzelb zaproszonych gości. Liczna armia nagonki pędziła zające i bażanty na stanowiska. Bażantów wzlatywało tak dużo, że cesarz dawał do nich po 3 strzały na 2 minuty. To też plon łowiecki był niemały. Dnia 29. listopada znalazło się na rozkładzie 700 zajęcy 504 bażantów, 18 kozłów i 14 kuropatw. Sam cesarz ubił 230 bażantów i 154 zajęcy.

Między bażantami nie same padają koguty, bo gdzie się tyle strzałów krzyżuje, wpadnie w nie częstokroć i kurka. Na pieczyste jest samica w ogóle delikatniejsza i smaczniejsza. Smak mięsa bażanciego zależy w ogóle wiele od rodzaju pożywienia. Te, które się trzymają podawanego żeru, są lepsze, podczas gdy mięso koguta, który zdziczeje i w szyszkach świerkowych zasmakuje, staje się częstokroć tak gorzkie, że go przełknąć nie podobna.

W czasie śniadania myśliwskiego w leśniczówce w Czarnych Dołach rozmawiał się cesarz z małżonką, oczekującą rozwiązania w Poczdamie. Pociągnięto w tym celu umyślnie linię telefoniczną, która na odległość 600 kilometrów wybornie do rozmowy mogła być użytą. Po obiedzie w zamku Pszczyńskim, około godziny 10. w nocy, wyjechał cesarz razem z towarzyszami łowów z powrotem do Berlina.

Tyle macie o myśliwstwie, a teraz jeszcze słówko z obrad Niemieckiego Towarzystwa ornitologicznego, które tu dnia 11. b. m. pod przewodnictwem prof. Moebiusa posiedzenie swe odbyło. Między innymi odczytano tam ciekawe doniesienie z Lipska, że koło Werden, na prawym brzegu Łaby, ubito dnia 27. listopada — nie zgadniecie co — czerwonaka czyli flaminga *(Phoenicopterus roseus)*, który do europejskiej ornis wcale nie należy. Przypuszczano zrazu, że to ptak, który uciekł z jakiejś menażeryi lub ogrodu zoologicznego, lecz te mają zazwyczaj lotki z jednej strony obcięte, ten zaś był całkiem nieuszkodzony. Zagnała go więc jakaś burza nad Łabę, a uznano to za możliwe, bo sobie przypomniano, że już w Holandyi i na wyspie Rugii trafiały się czerwonaki.

Prof. Moebius miał następnie odczyt o locie ptaków, przyczem udowadniał, że dopóki ptak siedzi na ziemi, czy na gałęzi, pierze jego stawia opór wszelkim ruchom wiatru, i dlatego ptak zawsze pod wiatr dzióbem się obraca, aby mu pierza nie wzburzało. Gdy się ptak jednak wzniesie i z wiatrem leci, wtedy ciśnienie powietrza na pierze jest ze wszech stron jednostajne, bo wiatr ptaka unosi.

Nie może on też doznawać wrażeń wiatru, który swym lotem wyprzedza, podobnie jak balon, który, chociaż wiatrem ścigany, kulistego kształtu swego nie zmienia*)

Odczytano w końcu list Emina paszy ze stepów Ugogo, w którym sławny ten podróżnik donosi o ciekawem zjawisku, iż spostrzega na swej drodze, na małych kałużach pelikany i w ogóle ptaki wodne, podczas gdy wód większych tam nie ma, i wnosi stąd o istnieniu jakiegoś nieznanego jeszcze wielkiego jeziora w tych stronach, gdyż wydaje mu się niemożliwem, ażeby ptaki owe na stepy Ugogo z bardzo odległego od nich jeziora Nyanza się zapędzały. Dziwi go też pobyt gajówek, drozdów itd. w lasach i na drzewach, zupełnie o tej porze z liścia obnażonych — i w ogóle w tych okolicach, gdzie żywa wegetacya zdaje się trwać bardzo krótko.

Oto macie wiązankę wiadomości na dowód, że i w wielkiem mieście można się zajmować naturą i łowami, choć zazwyczaj tylko — teoretycznie. *S.*

---

*) O ciekawych tego rodzaju spostrzeżeniach pisze p. Władysław Spausta w rozprawie swej „Wędrówki ptaków“ „Łowiec“ z r. 1890. nra 6—11.

Stryj dnia 18. grudnia 1890.

(Z Towarzystwa myśliwskiego.)

Wczoraj odbyło się u nas doroczne walne zgromadzenie Towarzystwa myśliwskiego „Stryj“, na którem, po sprawozdaniu z ogólnego stanu Towarzystwa, przystąpiono do uzupełnienia wyboru Wydziału w skutek ustąpienia wiceprezesa. W skład Wydziału wchodzą więc od 1. stycznia 1891 r. następujący panowie: prezes p. Stojałowski, wiceprezes p. Wolski, sekretarz p. Wasylewski, skarbnik p. Ślósarski, łowczy pp. Lindner i Pawlik.

Szczegółowe sprawozdanie z całego roku podam Szanownej Redakcyi w przyszłym miesiącu, by niem objąć cały rok nasz myśliwski; dzisiaj chciałbym tylko ogólnie zamarkować, że Towarzystwo nasze rozwija się bardzo dobrze i że nie tylko jest uposażone w członków, między którymi liczyć można wielu bardzo tęgich i wytrawnych myśliwych, a przytem nadzwyczaj miłych i zacnych towarzyszy i braci w św. Hubercie, ale posiadamy nadto i knieje wiele obiecujące, i pola i błota w zwierzynę obfite, na których już niejedną miłą chwilę w życiu spędziliśmy, a Bóg da doczekać, jeszcze milszą spędzimy.

Gospodarka nasza pod względem podniesienia stanu zwierzyny, wprawdzie z powodu zbyt krótkiego czasu istnienia Towarzystwa (od listopada 1889 roku) jeszcze nie jest całkiem rozwiniętą — spokój jednakże w kniejach i na polach, tępienie kłusownictwa, dobra straż i dobre premiowanie tejże za każdą Towarzystwu wyświadczoną przysługę, wiele już dobrego zrobiły. To też znaczną już dzisiaj widzimy różnicę w miotach branych zeszłego roku a tego roku — przyrost zwierzyny prawie wszędzie widoczny, a i kłusowników znacznie mniej, niż to po inne lata bywało. Mimo to odzywają się przecież pojedyńcze głosy w mieście przeciw naszemu Towarzystwu, lecz przebija z nich tylko egoizm, gdyż jako jedyny powód, który przeciw Towarzystwu tu i ówdzie słyszeć się daje, podawanym jest ten, że od czasu istnienia Towarzystwa w mieście tanio zwierzyny dostać nie można. Nas członków pociesza to bardzo, bo widocznie kłusownicy nie strzelają już tyle, a jeżeli już który pomimo straży zdoła jakiego zajączka lub sarnę czasem zamordować, to z obawy przed rozgałęzioną czujnością Towarzystwa, boi się sprzedawać publicznie.

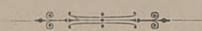
Możemy jednakże z czystem sumieniem przeciwników naszych upewnić, że po upływie kilku lat zwierzyny znacznie więcej nawet na targu w mieście pokazywać się będzie, gdyż racyonalna hodowla sarn, zajęcy i kuropatw w krótkim stosunkowo czasie może tyle zwierzyny rozmnożyć, że i dla nas i dla całego miastu wystarczy.

B. W.

Z pod Wilkowa (W. Ks. Pozn.) w grudniu.

(Do sprawy kozłów i trutki na lisy.)

Wyczytawszy w ostatnim numerze „Łowca“ (Nr. 12) wiadomość o leżącym niedaleko zatrutego mięsa koźle, który miał się tem mięsem otruć, pozwalam sobie twierdzić, iż polega to tylko na przypadkowym zbiegu okoliczności. Zdaje mnie się bowiem, iż rogacz ów prawdopodobnie na inną chorobę życie zakończył. Zakładam rokrocznie bardzo wielką ilość zatrutego strychniną mięsa, lecz jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się znaleść zatrutą sarnę. W jakiej ilości zatrute mięso (surowe) w lesie i na polach wykładam, osądzić można z liczby zatrutych psów i lisów podczas jednej zimy (87 r.). Znaleziono mianowicie 56 psów, przeważnie kundli i 11 lisów. W roku 1888 już tylko 19 psów i 6 lisów. Ilość sarn, a przeważnie zajęcy, pomnożyła się też znacznie. Sarn liczę 200 sztuk, gdy dawniej ani czwartej części nie było. Komu więc chodzi o swoją zwierzynę, niech zakłada po wszystkich polach i po wszystkich częściach lasu zatrute mięso, a nie pożałuje tego. *hr. Cz.*



Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Staremsiole, dobrach hr. Romana Potockiego, prezesa naszego Towarzystwa łowieckiego, odbyło się polowanie w kniei Plichów dnia 27. grudnia. Polowano w 7 strzelb. Między dostojnymi gośćmi, zaproszonymi przez gospodarza, byli J. C. k. Wysokość arcyksiążę Leopold Salwator, hr. Stefan Szembek, hr. Stanisław Gołuchowski i hr. Artur Potocki z Buczacza. Dzień był pogodny lecz wietrzny, a mróz dochodził do 19 stopni. Wzięto dziewięć miotów i ubito 58 zajęcy, 9 lisów i 4 kozły. Nagonka pomimo niezwykłego mrozu prowadzoną była znakomicie przez pp. Madejewskiego i Beera, wybornych znawców kniei i warunków myśliwskich. Skrzydła były obsadzone „straszakami“, lecz mimo tego i na nagonkę i na boki wiele zwierzyny wracało. Sarny przerwały nawet sznur staszaków. Strzałów dano przeszło 200, wiele chybionych skutkiem kostnienia palców przy dokuczliwym wichrze i mrozie. *W. Z.*

— W Krzeszowicach, u hr. Andrzeja Potockiego, polowano w dzień wilii wyłącznie na zające. Do rogaczy nie wolno było strzelać. W kilku godzinach padło 109 zajęcy. Między zaproszonymi byli: Andrzej hr. Zamoyski, hr. Roman Michałowski ze synem, hr. Adam Krasiński, Excelencya Zborowski, hr. Ksawery Branicki, dr. Paszkowski, prof. Morawski, hr. Antoni Wodzicki, Henryk Tomkowicz.

— W Sędziszowie, u hr. Andrzeja Potockiego polowano od 16. do 20. grudnia. Ubito 370 zajęcy, 70 lisów, 1 rogacza, 2 dziki, 5 kuropatw. Z zaproszonych gości byli: hr. Stefan i Andrzej Zamoyski, hr. Zdzisław Tarnowski, hr. Stanisław Wodzicki, Homolacs i hr. Starzeński.

— W Kamionkach wielkich odbyło się w dniu 16. grudnia b. r. polowanie z nagonką, na którem w 20 strzelb ubiliśmy 20 rogaczy, 59 zajęcy i 1 lisa. Dodać tu muszę, że polowaliśmy tylko w rewirze obfitującym w sarny, t. j. przeważnie w wysokopiennym lesie, i tem się tłumaczy ta stosunkowo niewielka ilość ubitych zajęcy.

Kamionki wielkie, to bez wątpienia najpiękniejsza knieja na całem Pokuciu, do czego obok znakomicie zorganizowanej straży leśnej w znacznej części przyczynia się nadzwyczajnie szczęśliwe położenie tej kniei.

Mamy tu w okolicy wiele pięknych i olbrzymich kniei, jak graniczący jedną stroną z Kamionkami Korszów, gdzie od lat kilku, w skutek baczniejszego nadzoru, zwierzostan znacznie i stale się podnosi; Słobódka leśna, głęboka knieja, obfitująca przeważnie w dziki; żadna jednak z tych kniei, oprócz sąsiedniej Turki, nie może mierzyć się co do mnogości sarn z Kamionkami wielkiemi. Podnoszę to tem bardziej, ile że knieja ta znajduje się w rękach człowieka niefachowego, izraelity, który jednak przez racyonalną gospodarkę w przeciągu lat kilku tak znakomicie podniósł zwierzostan.

Kamionki wielkie są u nas pierwszym przykładem, że polowanie nie powinno być traktowane li tylko jako zabawka, lecz że przy umiejętnej i racyonalnej hodowli zwierzyny pożytecznej stanowić może i powinno majątek naszej ziemi.

Leopold Łysakowski.

— W Świerczowie, w dobrach Zdzisława hr. Tyszkiewicza, polowano w dzień wigilii i ubito w kilku miotach 18 zajęcy, 1 rogacza i 1 lisa.

Na polowaniach, urządzanych w miesiącu listopadzie i grudniu b. r. częścią przez właścicieli, a częścią przez dzierżawców polowań w Cmolasie, Przyłęku, Hadykówce, Turce i Zielonce, padło biorąc łącznie 7 rogaczy, 7 lisów i 42 zajęcy. *S. Kisiclewski.*

— W Balicach, majątku ks. Dominika Radziwiłła, polowano d. 2 i 3. grudnia w dziesięć strzelb i ubito 1 lisa, 2 rogacze i 84 zajęcy.

— W Strzyżowie, własności pani Wołkowickiej, odbyło się dnia 12. grudnia polowanie, na którem ubito 30 zajęcy, 5 lisów i 4 dropie, rzadko w tej okolicy widywane.

(Dropie o tej porze i w tamtej okolicy są zjawiskiem tak ciekawem, że upraszamy o bliższe szczegóły polowania i opis ubitych ptaków. Zapewne były to dropie mniejsze t. zw. „Strepety“, *Otis tetrax.* Przyp. Red.)

— W Staniąteckiem, na terytoryum spółki myśliwskiej Staniąteckiej, odbyło się d. 6. grudnia polowanie w siedm strzelb. Padło na niem 103 zajęcy, 2 kuropatwy i 1 lis.

— W Śledziejowicach, majętności p. St. Larysz-Niedzielskiego polowano d. 22. grudnia w dziesięć strzelb i ubito 94 zajęcy.

— W Porhowie, u p. A. Cieleckiego odbyło się dnia 22. listopada polowanie. Padło na niem 45 zajęcy 2 kozły i 1 lis.

— W Targowicy u p. Adolfa Abrahamowicza polowano dnia 17. grudnia. — Niezwykła to knieja — szczupła co do rozmiarów, — lecz bogata pod względem zwierzyny. Całą knieję stanowi 70 morgów łoziny, w której zabito w półtrzecia godziny 150 zajęcy i 2 lisy. Prawda, że udział w polowaniu wzięło aż dwudziestu kilku myśliwych. I nic dziwnego, że spieszą tam myśliwi z dalekich stron, bo wabi ich i piękna knieja, a raczej remiza, i niezwykła gościnność gospodarza, który sam prowadzi nagonkę, przedzierając się przez gąszcza łoziny i trzcin. Zwykle pada w Targowicy kilkanaście do dwudziestu lisów — w tym roku jednak wypadło polowanie w dniu, kiedy lisy spacerować zwykły po polach, tj. w dzień pogodny po kilkodniowej zawierusze — i dlatego uszły większego pogromu. *T. C.*

Z Królestwa Polskiego.

— W Chrząstowie, majątku hr. Rodryga Potockiego w rewirze Ludwinów na 120 morgach zagajników, w dniu 15. grudnia padło pod strzałami myśliwych 70 zajęcy i 7 bażantów. Nazajutrz, dnia 16. grudnia polowano w nieco liczniejszym komplecie w rewirze Michałów, gdzie też zabito jedenaście rogaczy, dwa dziki, dwa cietrzewie i 78 zajęcy. Rezultat polowania byłby znacznie większy przez oba dni, wobec znakomitego stanu lasów i zwierzostanu, gdyby nie dwunastostopniowy mróz z silnym północnym wiatrem, który przeszkadzał myśliwym.

— W Brzeziu u p. Leopolda Kronenberga odbyło się d. 19. i 20. grudnia polowanie, którego rezultat pochlebnie świadczy o wzorowem gospodarstwie łowieckiem w tej knici. W 12 strzelb ubito: 8 rogaczy, 580 zajęcy, 17 bażantów, 2 kuropatwy i 2 jastrzębie. Lis ani jeden się nie znalazł, co świadczy o gorliwości służby leśnej i obfitość zajęcy tłómaczy.

— W Dzierzbicach, u p. Wincentego Walewskiego w Kutnowskiem, polowano w 16 strzelb i ubito 176 zajęcy i 1 bażanta.

— W Krośniewicach, u p. Rembielińskiego, polowano przez 4 dni od 15. do 20. i zabito w ośm strzelb 908 zajęcy i 80 bażantów.

— W lasach Bolimowskich, na polowaniu, w którem brali udział przeważnie z Warszawy przybyli myśliwi, padło 2 kozły, 208 zajęcy, 3 bażanty i 4 cietrzewie.

— W Potworowie, u p. Stanisława Bonieckiego, mianowicie w lasach Tomczyckich i Borowińskich, odbyło się w dniach 15. i 16. grudnia polowanie na którem we 22 strzelby ubito: 2 ogromne jelenie, 7 kozłów, 8 lisów, 14 cietrzewi i 177 zajęcy.

— W Opolu Włodawskiem, własności p. Stefana Zabiełły, w dniach 15. i 16-ym grudnia odbyło się polowanie z udziałem 9-ciu myśliwych. Ubito 121 bażantów i 52 zajęcy. Tak świetny rezultat przypisać należy niestrudzonej staranności w ochronie zwierzyny samemu tylko właścicielowi — gdyż przed dwoma jeszcze laty w tej samej miejscowości przy większej liczbie myśliwych — zaledwie 5 zajęcy zabić było można.

— W Grodźcu, majątku p. Stanisława Ciechanowskiego, odbyło się w grudniu polowanie,. na którem w przeciągu dwóch dni, w siedem strzelb, zabito 260 zajęcy i 160 bażantów.

— W Jarantowie, własności p. Radońskiego, na polowaniu odbytem d. 1. grudnia, 18-tu myśliwych ubiło 205 zajęcy, jednego rogacza i cietrzewia.

— W Chyczy, w gubernii kieleckiej, na polowaniu odbytem d. 11. grudnia, ubito na polowaniu w piętnaście strzelb: 163 zajęcy, lisa i dwa cietrzewie. Strzałów padło 381.

— W Karczmiskach, majątku pp. Wesslów, polowano d. 11. i 12. grudnia w dwanaście strzelb i ubito 6 kozłów i 89 sztuk zajęcy i drobniejszej zwierzyny.

Z W. Księstwa Poznańskiego.

— W Czelusinie, własności p. Henryka Dzierzykraj Morawskiego, ubito na polowaniu d. 6. grudnia w 7 strzelb 171 zajęcy, 30 bażantów, 1 kozła i 2 cietrzewie.

— W Mechlinie, na polowaniu odbytem w 9 strzelb w dniach 15. i 16. grudnia, padło 870 zajęcy i 7 rogaczy.

— W Czarnymsadzie, pod Koźminem, dnia 18. grudnia zabito na polowaniu w 7 strzelb 110 zajęcy.

— W Kołaczkowie pod Witkowem, na polowaniu dnia 13. grudnia położono w 10 strzelb 175 zajęcy, 10 rogaczy i 1 lisa.

— W Obrzyckich dobrach, własności hr. Raczyńskiego, zabito w ciągu dwóch dni 241 zajęcy, 3 rogacze i 1 lisa.

— W Poniecu własności hr. Jana Mycielskiego polowano dnia 15. grudnia przy bardzo silnym mrozie i ubito 130 zajęcy, 8 królików, 2 rogacze i 1 lisa. Byli obecni: Max i Józef hr. Mycielscy, Gothard, Turno, Edward Chłapowski i hr. Marceli Żółtowski.



KRONIKA.

Wydział galic. Towarzystwa łowieckiego odbył w dniach 27. listopada i 20. grudnia dwa posiedzenia dla załatwienia spraw bieżących. Między innymi postanowił Wydział rozesłać Delegatom Towarzystwa następującą odezwę:

Do WW. Pp. Delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego.

ODEZWA.

Powołując się na odezwę z dnia 29. listopada 1889 r. i przesłane z nią formularze do podawania dat statystycznych i ciekawych spostrzeżeń z zakresu łowiectwa, przypomina niniejszem Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego WW. Pp. Delegatom ciążący na nich w tej mierze obowiązek i uprasza o jak najgorliwsze wspieranie go w czynnościach, mających na oku rozszerzanie zasad racyonalnego myśliwstwa przestrzeganie dotyczących przepisów, skuteczną ochronę zwierząt łownych i całego tego działu gospodarstwa krajowego.

WW. Pp. Delegaci raczą także swoimi uwagami, spostrzeżeniami choćby najkrótszymi doniesieniami z zakresu łowiectwa wspierać Redakcyę „Łowca", organu gal. Towarzystwa łowieckiego i rozszerzać to pismo, niezawodnie każdemu miłośnikowi łowiectwa pożądane i miłe. Szczególniej w dwóch kierunkach należy wywoływać opinię i zwracać baczność, a mianowicie co do nowo projektowanej ustawy łowieckiej i co do praktyki w obecnem przestrzeganiu łowieckich przepisów.

Projekt ustawy łowieckiej, aczkolwiek już przez władze rządowe przygotowany, nie został jeszcze na ostatniej sesyi sejmowej wniesionym. Pomimo zbadania go przez różne ciała fachowe, mogą być w nim jeszcze niedostatki, któreby podnieść należało. Najszersza dyskusya publiczna w tym względzie, przedtem jeszcze, nim projekt wejdzie na tory ustawodawczego traktowania, jest ze wszech miar pożądaną, zależeć nam bowiem powinno na tem, ażeby przyszły kodeks łowiecki obejmował wszystko, co w zakresie łowiectwa ustawodawczo powinno być uregulowanem, i żeby opierał się na jak najskrupulatniejszem zbadaniu potrzeb kraju, jego przyrody i warunków gospodarczych. Zwracamy uwagę WW. Pp. Delegatów, że „Łowiec w Nrach 1., 2., 3., 4., 5., 8. i 9., podał wszelkie w tej mierze materyały, a mianowicie pierwotny projekt Wydziału krajowego, następny projekt rządowy, a wreszcie opinię o nich, i sądzimy, że dalsze trutynowanie tych materyałów i nadsyłanie dojrzałych uwag fachowych Redakcyi „Łowca" może być tylko dla ostatecznego załatwienia tej sprawy najpożądańszem.

Niemniej zaleca Wydział gal. Towarzystwa łowieckiego WW. Pp. Delegatom czujność co do obecnego przestrzegania przepisów łowieckich, a mianowicie skrzętne podnoszenie wszelkich zasługujących na pochwałę usiłowań w zakresie racyonalnego gospodarstwa łowieckiego, jakoteż wykrywanie i donoszenie o przestępstwach i przekraczaniu przepisów, biorących racyonalne myśliwstwo w obronę.

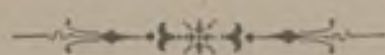
Zamiłowanie myśliwstwa, tak rozpowszechnione w naszem społeczeństwie, nie powinno poprzestawać na samem użyciu; troskliwe zbieranie faktów, wzbogacających nauki przyrodnicze i doświadczenie myśliwego, oraz męska obrona wszystkiego, co rozwojowi łowiectwa sprzyja, powinno iść w parze ze sportem myśliwskim. W tym duchu pojmując swe powołanie, raczą WW. Pp. Delegaci wspierać usiłowania podpisanego Wydziału i Redakcyi „Łowca".

Od WW. Pp. Delegatów zależeć będzie w ogóle ożywienie czynności Towarzystwa łowieckiego, które natrafia niestety w ostatnich czasach na pewną obojętność. Pomnożenie liczby członków, wśród których śmierć sama poczyniła wyłomy, okazuje się niezbędnem, i w tym względzie zalecamy najgoręcej WW. Pp. Delegatom, ażeby szeregi Towarzystwa naszego pozyskiwaniem nowych członków wzmacniać raczyli.

Z Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego.

We Lwowie, dnia 20. grudnia 1890.

Prezes:
Roman hr. Potocki.



Łowy dworskie. Rok 1890 będzie w zapiskach myśliwskich rewirów cesarskich zapisany jako szczególnie obfity w zające. Rzeczywistość prześcignęła o 50 do 80 procent cyfry spodziewane.

Na ostatnich dwóch polowaniach dworskich w Trumau i Hennersdorfie, w których brali udział arcyks. Franciszek Ferdynand Este, ks. ks. Braganza, Reuss, Hohenlohe, hr. hr. Schönborn, Hardegg, Hoyos i inni: padło 3921 zajęcy i 177 kuropatw.

Obu pierwszym polowaniom dworskim w Hodoninie (Göding) nie sprzyjało burzliwe powietrze. Pierwsze odbyło się 25., drugie 29. listopada. Brali w nich udział arcyks. Franciszek Ferdynand Este, ks. Koburski, ks. Reuss, Don Merry del Val, sir August Paget, de Young, ks. Hohenlohe, ks. Turn-Taxis, minister Zaleski, hr. hr. Abensperg-Traun, Bray-Steinburg, Wolkenstein, Falkenhayn, Wurmbrand i inni. Ubito 1 jelenia, 24 kozłów, 1783 zajęcy, 1087 bażantów, 535 kuropatw i 613 królików.

Łowy Hodonińskie, przy spokojnem lecz mroźnem powietrzu, ukończono w d. 18. grudnia. Około godziny 4-tej po południu, po ukończeniu łowów, znalazło sią na rozkładzie: 13 kozłów, 845 zajęcy, 626 bażantów, 264 kuropatw i 426 królików.

Dnia 20. grudnia w zwierzyńcu cesarskim, w rewirze Auhof, odbyło się polowanie na dziki. Dzień był mroźny. Rewir jest lasem mięszanym, w którym promieniami ku środkowi wycięte są linie, a przy nich urządzone stanowiska. Łowy odbywały się pod rozkazami W. łowczego, hr. Abensperg-Traun, a udział brali w nich arcyksiążęta Franciszek Ferdynand Este, Otto i Fryderyk, ks. ks. Braganza, Koburg, Hohenlohe, Turn-Taxis, hr. hr. Paar, Falkenhayn, Hunyady, Wurmbrand, Türkheim, szef sekcyjny Szögyeny, jenerałowie; br. Schloisnig, bar. Koenig i bar. Beck. Wynikiem łowów było 350 dzikich świń na rozkładzie, z których sam arcyksiążę Franciszek Ferdynand położył 112 sztuk.

D. 27. grudnia polował cesarz w Mürzstegu, rano w rewirze Seebachl, zaś od godziny pół do 12-tej do 4-tej popołudniu w Höllgraben. O pół do 6-tej wieczorem wrócił już monarcha do Wiednia. Wogóle padło 24 jeleni i łań, z których sam cesarz ośm sztuk położył. W towarzystwie cesarza znajdowali się hr. Paar, br. Beck, hr. Abensperg-Traun, kapitan Sachs, bar. Wiederhofer, ks. Turn-Taxis i bar. Saar.

W dobrach prywatnych arcyksięcia Franciszka Ferdynanda Este, w Konopiście, polowano dnia 19., 20., 21. i 22. listopada z nagonką, liczącą około 1500 ludzi i „straszakami". Wynik łowów był następujący: 4 kozły, 3200 zajęcy, 979 bażantów, 539 kuropatw, 2 słonki i 341 królików.

Czarnego zająca ubił Jan hr. Palffy d. 4. listopada na polowaniu w Hradyszczach w Czechach. Zając był normalnie zbudowany i rozwinięty, a turzyca zupełnie czarna.

Między danielami. Ostatniej jesieni, jeden z gości księcia Michała Esterhazego, w rewirze Sikvölgy koło Totis na Węgrzech, podchodził daniele. Wtem natrafił na dwa walczące z sobą rogacze. Strzelił do nich, lecz daniele nie zwracały na strzał uwagi, tylko walczyły dalej. Myśliwy strzelił jeszcze kilka razy, lecz nie zdołał walczących zapaśników rozdzielić. Naraz jeden z nich cofnął się, chcąc nabrać rozpędu i z boku przeciwnika ugodzić — lecz wtem przewrócił się nieżywy, drugi zaś zniknął w gęstwinie. Pokazało się, że padły daniel był trzema strzałami ugodzony, a prawdopodobnie mocno postrzelonym musiał być i drugi z zapaśników.

Mordownią ptaków pożytecznych, naszych miłych śpiowaków polnych i leśnych, które przed nadchodzącą zimą ulatują na południe, są ciągle i zawsze Włochy. One to przyczyniają się głównie do coraz widoczniejszego zmniejszania się liczby tych śpiewaków skrzydlatych. W samej Brescii, mieście liczącem niewięcej jak 40.000 mieszkańców, opłacono w październiku 1890, t. j. w jednym miesiącu, akcyzę od 423.792 przyniesionych na targ ptaków, że zaś i przemycono część znaczną, więc można liczyć na pewno, że jedna ta mieścina pochłonęła w jednym miesiącu pół miliona pożytecznego ptactwa. Dokądże rząd włoski będzie cierpiał to barbarzyńskie i szkodliwe dla gospodarstwa wytępianie!

Zapasy z wilkiem. *Now. Obzor* opisuje następujący wypadek, który się zdarzył we wsi Kodeło, w powiecie signańskim. W nocy 2. listopada, na podwórze domu księcia Ł. Andronikowa, wpadł wilk wściekły. Służba, przestraszona, pochowała się i błagała księcia, aby nie wychodził na dziedziniec, lecz on, wziąwszy kindżał, wyszedł na

spotkanie zwierza; za nim wyszedł też z fuzyą, bawiący w gościnie Jan Nasidze, który dał do wilka 14 strzałów; raniony wilk, jak się zdawało, uciekł. Po chwili jednak książę ze swym gościem, oglądając dziedziniec, zauważyli w kącie jakąś leżącą kupę; chcąc się przekonać, coby to być mogło, podeszli bliżej, lecz w tejże chwili kupa się podniosła, a raczej wilk, który z wściekłością rzucił się na księcia; ten chciał pchnąć wilka w bok kindżałem, lecz chybił i tylko mu ucho odciął; wtedy rozjuszone zwierzę, rzuciwszy księcia pod siebie, poczęło go kąsać w łokieć prawej ręki. Położenie było okropne, gdyż Nasidze nie mógł strzelać do wilka, aby nie trafić księcia; wziął więc leżący na ziemi kindżał i pchnął wilka, lecz przytem poranił księciu ręce. Następnie schwycił zwierzę za łeb, chcąc je odciągnąć od broczącego krwią księcia. Obraz ten stał się teraz jeszcze groźniejszy: na ziemi tarzało się dwóch ludzi i wściekłe zwierzę, N. bowiem także upadł w tych zapasach. Na straszne okrzyki walczących, wzywających pomocy, wyszedł nareszcie jeden ze służących, któremu rozkazano odszukać kindżał. Służący go znalazł i zadał wilkowi cios śmiertelny. Okazało się, iż wściekłe zwierzę miało trzy rany od kul; jedna trafiła je w piersi i przeszła na wylot przez kręgosłup, druga w lewą łopatkę, a trzecia w grzbiet. Prócz tego, wilk otrzymał kilka ran kindżałem; pomimo to miał tyle sił jeszcze, iż strasznie pokaleczył swych zapaśników. Książę Androników miał okropnie pokaleczoną rękę i twarz podrapaną. Nasidze zaś czoło i rękę.

Arcyksiążę przez kłusownika postrzelony. Jestto młody arcyks. Józef August, syn arcyks. Józefa, naczelnego komendanta honwedów. Polował on w końcu listopada r. z. z ks. Koburskim w Ebenthal, w okolicy, często przez kłusowników nawidzanej. Wychodzili właśnie na wzgórek dla rozglądnięcia się w okolicy, gdy zdala ujrzeli błysk wystrzałowy i usłyszeli świst kuli. Równocześnie poczuł arcyksiążę nagły chwilowy nacisk powyżej żołądka. Pomacał się tam i obaczył kościany guzik swojej guńki rozbity i sukno przedziurawione. Po rozpięciu guńki wypadła kula z koszuli myśliwskiej. Gruby guzik ocalił życie arcyksięciu.

Walka z wężem. Z Bukaresztu donoszą o wypadku, jaki miał miejsce w tamecznym teatrze. Indyanka Nalla Damajanti popisywała się jako pogromicielka wężów, przyczem jeden z gadów, boa, tak mocno opasał pogromicielkę, że zmuszoną była użyć siły dla wyswobodzenia się z więzów. Gdy po skończonym numerze Damajanti zamierzała ułożyć węża do skrzyni, ten rzuciwszy się, nagle owinął ją całą, a dostawszy się do szyi, począł dusić swoją ofiarę. Wszelkie jej usiłowania, w celu oderwania węża od szyi, okazały się daremne i pogromicielka po rozpaczliwej walce padła bez przytomności, wydając przeraźliwy okrzyk. Stojący tuż obok niej impresario rzucił się na pomoc i dopiero po kilku minutach energicznego ratunku zdołał wyrwać Damajanti z objęć rozjuszonego węża. Nieszczęsna pogromicielka odniosła kilka ciężkich obrażeń na ciele i po tym wypadku mocno się rozchorowała. Wśród zebranych widzów powstał popłoch, wiele kobiet zemdlało na widok strasznej sceny, wkrótce jednek porządek został przywrócony.

Łowy w Skandynawii. Według ścisłych zestawień urzędowych, ubito w roku ubiegłym w Norwegii 850 sztuk łosi i 471 sztuk dzikich renów, z tego w samym okręgu Nord-Tronthjem 303 łosie. Jednocześnie w Szwecyi padło 1.782 łosi, gdy w latach poprzednich ubito tam 2.097, względnie 2.178 sztuk tej wspaniałej zwierzyny.

Ze stylistyki łowieckiej. Było to tak. Postrzeliłem mocno zająca, a że pójść za farbą z powodu już zapadłego wieczoru nie mogłem, więc poleciłem strażnikowi Hryniowi odszukać kopyrę na drugi dzień rano i przysłać mi go. Hryń jest piśmienny, więc nazajutrz otrzymałem list następujący:

Wielemożny Panie!
Szukaliśmo z Jaśkiem
zajacia i znajszliśmo.
Tylo terść i krow
a zajacia nema.
Snig padaje — bedzie
dobre polowaty.
Całuje rączki *Hryń.*

A proszu bardzo Wielemożnego Pana napiszcie mi co zrobić, bo ta osoba, co była u Was i moralność swoją zostawiła, to nie jest żaden strażnik — proszu bardzo, ja maju tu innego, co go przysźlę do Was, bo to je chłop jak się patrzy, i skarb mu sotkę do rąk daje do wypłaty, to jest bardzo dobry strażnik i razem służbę będzie ze mną robił. Całuje rączki *Hryń.*

Świadczę się nietylko św. Hubertem, lecz i wszystkimi innymi świętymi, że żadna osoba u mnie moralności swojej — zwłaszcza wbrew swej woli — nie zostawiła — a poczciwy Hryń przestrzegał mnie tylko, abym nie ufał złożonemu u mnie świadectwu moralności i swoim łowieckim stylem utrakwistycznym to wyraził. Co prawda, przestroga taka nie bywa zbyteczną; bo z moralnością często się zdarza jak z owym zającem — „je terść i krow a zajacia nema“ — ale bogobojny brat w Hubercie i podejrzenia takiej nawet makuły dźwigać na sobie nie powinien, więc i ja się publice exkulpuję i posyłam braciom w Hubercie życzenia „dosiego“ z Nowym Rokiem. *B. W.*

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.